

MY BYLIŚMY PRZYGOTOWANI...

Z LESZKIEM MOCZULSKIM

ROZMAWIA MICHAŁ JANISZEWSKI

MICHAŁ JANISZEWSKI: Zbliża się 30 rocznica wyborów kontraktowych. Chciałbym Cię przy tej okazji zapytać o kilka rzeczy z nią związanych. Zacznijmy może od tego, wybory kontraktowe są często uznawane za jedną z możliwych cezurą historyczną pomiędzy PRL a III RP. Czy dla Ciebie był PRL?

LESZEK MOCZULSKI: Od samego początku był dla mnie tym samym, co dla ogromnej większości Polaków: formą rosyjsko-sowieckiego władztwa nad Polską. W latach 40. takie było powszechne przekonanie. Później, ale dopiero po 1956 r. większość pogodziła się z takim stanem rzeczy. Działo zresztą przyzwyczajenie, a urodzeni już po wojnie nie znali alternatywy.

Był jednak pewnie margines, który dość chętnie kolaborował z komunistami.

Oczywiście, że był – i systematycznie się poszerzał. Wprawdzie system komunistyczny był tak bardzo obcy Polakom, całkowicie nie pasujący do naszych doświadczeń państwowych, do polskiej tradycji politycznej i kultury – że przez pierwsze dziesięć lat traktowano go powszechnie jak jakieś wredne ciało obce. Zwłaszcza, że narzuciła go nam Rosja, główny zaborca. Co nie przeszkadza, że – podobnie jak w poprzednich pokoleniach, znaleźli się ludzie, skądinąd niekwestionowani patrioci, którzy nie dostrzegając innego wyjścia z tej tragicznej sytuacji, bardzo wcześnie zaczęli szukać jakiegoś *modus vivendi* z nową władzą. Niemalże automatycznie powstał nurt, który sam się określał, jako neopozytywizm. Był w sporym stopniu powiązany z Kościołem. To naturalne – żeby kontynuować swoją misję ewangelizacyjną, konieczne było utrzymywanie stosunków z władzami, mimo, że były one antypolskie i antykatolickie. Zbudowane wokół tej konieczności założenie polityczne było bardzo proste: *Musimy się pogodzić z rzeczywistością. Jest ona obca i zła, lecz nie jesteśmy w stanie jej zmienić. Każda próba zmiany doprowadzi nas do jeszcze większego nieszczęścia, do zagłady biologicznej Polaków, przesiedlenia Sybir itd. Zwykły realizm wymaga uznanie nowego stanu rzeczy i skupienia wysiłków na ratowanie tego, co się tylko da, zwłaszcza wartości moralnych.*

Mówisz o środowiskach, które zaakceptowały ustalenia jałtańskie wchodząc do rządu formowanego przez komunistów.

Niezupełnie. Wraz z frontem, który pomiędzy latem 1944 a przedwiośnią 1945 r. przetoczył się przez Polskę nadchodziła władza sowiecka, a jej funkcjonariusze, głównie narodowości polskiej, przystępowali do organizowania sowieckiej republiki, przewidzianej do włączenia do ZSRR. Niektórzy z nich działali w przyczyn ideowych, inni oportunistycznych, gdyż po doświadczeniach łagiernych trudno było wierzyć w humanitaryzm komunizmu. W tym też czasie narodził się czy też odrodził neopozytywizm. Bazę miał szerszą, niż sądzi się dzisiaj. Po katastrofie eksperymentu z 20-letnią niepodległością (jak to niektórzy określali), powtórka wydawała się niemożliwa. Aktywni politycznie byli jeszcze ludzie, którzy 30 lat wcześniej reprezentowali orientację moskiewską. Pamiętam moją rozmowę ze Stanisławem Grabskim, czołową postacią narodowej demokracji w 1914 r., człowiekiem który zapewne wykształceniem i inteligencją przewyższał Romana Dmowskiego. Brał on udział jako przedstawiciel *krajowych demokratów* w konferencji moskiewskiej w czerwcu 1945 r. – o której za chwilę. Później był profesorem na UW, wykładał

doktryny społeczne i polityczne. Ponieważ był to przedmiot fakultatywny, byłem chyba jedynym studentem, który zdawał u niego egzamin. Przerodził się on w wielogodzinną rozmowę. Grabski przekonywał, o ile obecna sytuacja Polski jest lepsza, niż w poprzedniej wojnie. Wtedy Rosjanie zagarniali nie tylko Lwów i Przemyśl, lecz także Chełm i Suwałki, a wraz z Prusami Wschodnimi Gdańsk. Zachodnia granica Kongresówki ulegała względnie niewielkiemu przesunięciu na Zachód, nie było pewne, czy dostaniemy Poznań. Ta mini-Polska uzyskiwała co najwyżej autonomię w ramach imperium rosyjskiego. Teraz – rozmawialiśmy wiosną 1949 r., jesteśmy wprawdzie zależni od Rosji, ale mamy osobne państwo i członkostwo w ONZ. Granica wschodnia oparła się o Bug, zachodnia o Odrę-Nysę. Jedynym mankamentem jest komunizm, ale prędzej czy później rozsądek zwycięży i porzucią tę złudną ideologię. Taka argumentacja polityczna nie była wyjątkowa, lecz emocjonalnie nie do przyjęcia dla ogromnej większości społeczeństwa. Patrząc szerzej, wówczas – ale i przez cały czas trwania PRL, występowały obok siebie dwa równoległe kierunki niezależnego działania. Pierwszy walczył o swobody religijne, drugi o polityczne. Dla Prymasa Stefana Wyszyńskiego łączyły się one w jedno, ale byli i tacy, którzy traktowali je rozdzielnie, za ustępstwa w jednej dziedzinie kapitulowali w drugiej. Już w marcu 1945 r. zaczął wychodzić „Tygodnik Powszechny” – wydawany przez kurię krakowską. Było to jedyne pismo niezależne od władz państwowych, ale rzecz jasna podlegało cenzurze. Od początku realizowało ono neopozytywistyczną linię: ponieważ nic więcej nie możemy zrobić, musimy się pogodzić z rzeczywistością i ratować wartości moralne.

Taki był stan do czerwca 1945 r. Mocarstwa zachodnie, które w pełni godziły się na podporządkowania Polski Sowietom, aby nie tracić twarzy wobec własnych obywateli, doprowadziły wówczas do realizacji postanowień jałtańskich i powołania w czerwcu 1945 tzw. Rządu Jedności Narodowej ze Stanisławem Mikołajczykiem jako wicepremierem. Polska formalnie była osobnym państwem o własnym rządzie, tylko ten ostatni został całkowicie zdominowany przez komunistów, a kraj był okupowany przez wojska sowieckie. Mikołajczyk reprezentował polską opcję polityczną, kierowane przez niego Polskie Stronnictwo Ludowe było aktywną partią opozycyjną, ale uznawano ważność Jałty oraz przynależność Polski do obozu sowieckiego. Dążono do zmian wewnętrznych, zwłaszcza do przerwania terroru fizycznego. Neopozytywizm zszedł w cień, co zresztą pozwoliło „Tygodnikowi Powszechnemu” przetrwać, gdy po mniej więcej dwu latach jawna opozycja została zdławiona, a wszystkie nieprawomyślne pisma, wydawane głównie przez PSL zamknięto albo zagarnęła je władza.

Kolejność była więc taka: najpierw ujawnili się i podjęli działania neopozytywiści, którzy podkreślali swą niezależność, ale nie opozycyjność, później przez dwa lata funkcjonowała opozycja uznająca system jałtański, po jej rozbiciu komuniści uzależnili całkowicie ZSL i Stronnictwo Demokratyczne, a przejęli PPS. Neopozytywiści wegetowali, a po zagarnięciu TP w 1953 r. przez władze faktycznie przerwali aktywność. Krwawe masowe refleksje doprowadziły do likwidacji ruchu oporu – zarówno politycznego, jak zbrojnego. Nie była to żadna wojna domowa, bo w takim konflikcie każda ze stron dysponuje znacznym, autentycznym i szczerym poparciem społecznym. Nowa władza, zresztą bezpośrednio i na wszystkich szczeblach podporządkowana sowieckim organom albo przez nie kontrolowana, była obcym, wyizolowanym ciałem bez realnego poparcia społecznego; pozyskiwała głównie ludzi, którzy szli na współpracę z musu, ze strachu, albo zwykłego oportunistu. Większość była zastraszona, ale jak najdalej od tego, aby wspierać obcą, w dodatku terrorystyczną władzę. Żadna grupa społeczna – ani robotnicy, ani chłopci w swojej masie nie poparli narzuconej dyktatury. Również neopozytywiści, którzy tylko przystosowali się do sytuacji, aby bronić odrzucanych przez komunę wartości moralnych.

Ale nawet to uznanie miało charakter warunkowy, powodowany sytuacją polityczną.

Tak. Dopiero po paru latach, gdzieś od 1948–49, już po całkowitej likwidacji podziemia i opozycji, zarysował się odmienny proces, stymulowany bezpośrednio przez władzę. Wraz z totalnym uzależnieniem wszystkich dziedzin aktywności społecznej, czego końcową operacją było

odbieranie chłopom ziemi i tworzenie kolchozów, rządcy PRL zaczęli rozwijać program pozyskiwania ludzi drogą tzw. awansu społecznego. Każdy, kto deklarował wierność PRL i braterskiemu sojuszowi z ZSRR, oraz przyjmował ideologię komunistyczną, zyskiwał możliwość poprawy swej osobistej pozycji. Często była to poprawa pozorna. Małorolny chłop, przenoszony do miasta, stawał się robotnikiem i mieszczaninem. Wyglądało to pięknie, ale często oznaczało to pogorszenie warunków bytowania. Prestiż okazywał się pozorowany, pauperyzacja rzeczywista. Bardziej konkretne korzyści uzyskiwali młodzi ludzie, którzy jeszcze w szkołach potrafili się wykazać politycznie, aby uzyskać ściśle reglamentowane miejsce na wyższej uczelni. W tym ostatnim przypadku sterowany przez PZPR proces dał największe rezultaty. Podczas wojny i okupacji, a także w wyniku czerwonego terroru, inteligencja w Polsce została w większej części wymordowana, więziona i rozproszona po świecie. Jej część, która przeżyła i pozostała w Kraju – ludzie represjonowanych, a często złamanych moralnie, odcięto od wpływu na młodzież. Przejęli ją komunistyczni propagandziści i ciągu pięciu- sześciu lat urobili na własna modłę. W ten sposób przerwano ciągłość pokoleniową. Pierwsza generacja tej *nowej inteligencji*, określającej się, jako socjalistyczna, przeżyła ogromny wstrząs po ujawnieniu przez Chruszczowa zbrodni Stalina. Szokiem były nie tyle same zbrodnie, o nich wszyscy wiedzieli, co sam fakt ich ujawnienia – czego rezultatem stało się przekształcenie *rewolucyjnego entuzjazmu* w cyniczny oportunizm. W skrajnej postaci było to przyjęcie maksymy: *skoro komunizm generuje zbrodnie, to wolimy być po stronie zbrodniarzy, a nie ofiar*.

Te wczesne roczniki *nowej inteligencji* – w rzeczywistości tylko pracowników umysłowych i wszelkiego rodzaju funkcjonariuszy, po zwycięstwie *marcowym 1968 r.* zaczęła dominować w partii i państwie, stanowiąc najtrwalszą podporę systemu. Bez porównania gorzej poszło władzom PRL z formowaniem *nowej klasy robotniczej*. Ludzie, przenoszeni ze wsi do miast, jeśli nawet doceniali, że to jest awans społeczny, to nie zmieniali swych tradycyjnych przekonań, przede wszystkim moralnych i religijnych – bo polityczne mieli na ogół bardzo nieokreślone. Słowem, nie przeobrażali się ideologicznie zgodnie z oczekiwaniami komuny, zachowywali krytyczny stosunek do władzy. Co więcej, łatwiej niż inne grupy społeczne, dostrzegali wyzysk i pogardę dla ludzi pracy. Ostatecznie to młodzi robotnicy, urodzeni i wychowani w PRL, stali się główną siłą społecznego buntu przeciwko totalitarnemu systemowi. Ale już w tragicznej pierwszej połowie lat '50 podobnie jak ogromna większość społeczeństwa, wyraźnie odczuwali zbrodniczość systemu, siłą narzuconego Polsce. Trudno było taką postawę manifestować, a nawet ujawniać w warunkach masowego terroru, lecz była ona typowa dla ogromnej większości Polaków. Co do wsi, przekonania chłopstwa formował głównie fakt pozbawiania ich ziemi i przymusowe zapędzanie do kolchozów.

Jeśli więc pytasz, jaki był mój ówczesny stosunek do PRL, odpowiadam: wrogi. Do 1956 roku był on zgodny z dominującą postawą społeczeństwa polskiego, ale po tej dacie przestał, gdyż większość uznała istniejący porządek rzeczy. Dlatego nigdy nie musiałem zmieniać poglądów, w przeciwieństwie do młodszych ode mnie nawet o parę lat kolegów, którzy zostali poddani zmasowanej indoktrynacji. Choć bez wątpienia większe znaczenie miało wcześniejsze przyswojenie sobie innego kodeksu wartości, zarówno w rodzinie, jak środowisku, w którym dorastałem.

Radykalna zmiana postaw społecznych dokonała się dopiero w 1956 r.

Po piętnastu latach nieprzerwanego, totalnego terroru najpierw nazistowskiego, później komunistycznego, społeczeństwo polskie było do cna wymęczone i bliskie granicy załamania. Gospodarczy i ideologiczny kryzys w ZSRR tworzył pozory głębokich przemian ustrojowych. W niezbyt odległym czasie okazało się to złudą, ale na świadomość społeczną oddziaływało już samo potępienie zbrodni stalinizmu, wypuszczanie ludzi z więzień czy zapowiedzi szerszej demokratyzacji – wzmacniane istotnie przez społeczne przyzwyczajenie do bytowania w systemie totalitarnym. Działała prosta maksyma: jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. Największym pragnieniem było przywrócenie jakiegokolwiek normalności. To wymagało jednak chociażby tylko warunkowej akceptacji realnie istniejącego stanu rzeczy. I do takiej akceptacji doszło. Nastąpiła swoista identyfikacja społeczeństwa z PRL.

Jednak powszechnie ocenia się bardzo pozytywnie zmiany, jakie przyniósł Październik 1956.

Bo to rzeczywiście były zmiany pozytywne. Rządzący działali pod olbrzymią presją społeczeństwa. W drugiej połowie 1965 r. do strajków i manifestacji dochodziło w coraz to nowych regionach. Ludzie z dotychczas rządzącej frakcji mogli obawiać się, że spotka ich taki sam los, jak popleczników Berii – i tym gorliwiej potępiali stalinizm i domagali się liberalizacji systemu. Byli wreszcie i tacy, którzy szczerze chcieli zmian, widząc w tym szansę odnowy socjalizmu. Splot tych przyczyn narzucił zarówno ustępstwa, jak ich wysoce spektakularną formę. Nie były to wyłącznie ustępstwa pozorne. Skończono z masowym, krwawym terrorem; nawet w stanie wojennym nie został on przywrócony we wcześniejszym rozmiarze. Poprawiono istotnie warunki bytu i pracy. Zrezygnowano z kołchozów. Otwarto drogę dla pozytywnych inicjatyw ludzi, jeśli tylko nie naruszały one politycznych filarów systemu. Ale nie były to ustępstwa jednostronne. Październik 1956 rok był wielkim kompromisem pomiędzy narzuconym przemocą systemem a zniewolonym społeczeństwem. Polacy – a przynajmniej ich ogromna większość, uznali władzę komunistyczną za autentyczną, przyjęli jej założenia ideologiczne i geopolityczne, zgodzili się, że PRL jest ich państwem – polskim państwem. To było ogromne, fundamentalne ustępstwo. Dzięki niemu PRL trwał jeszcze tak długo, bo ponad trzydzieści lat, ale – pozostając państwem totalitarnym, nie powrócił już do otwarcie zbrodniczej formy.

Patrząc z szerszej perspektywy, trzeba dostrzec, że w 1956 roku doszło do dwóch fundamentalnych, choć przeciwnych zdarzeń. Wywarły one ogromny wpływ nie tylko na Polskę, lecz na cały obóz sowiecki oraz na stosunki Wschód-Zachód. Pierwszym było masowe zaakceptowanie systemu PRL przez społeczeństwo polskie – co w nowym świetle przedstawiało charakter obozu sowieckiego. Równolegle doszło do brutalnego zdławienia rewolucji węgierskiej przez wojska sowieckie – ukazujące siłę i zdeterminowanie ZSRR, współdecydenta porządku światowego (*World Order*). Łącznie mieliśmy ujawnioną silnie społeczną zgodę na dalsze bytowanie w narzuconym systemem komunistycznym oraz światowe uznanie władzy Moskwy nad te części Europy.

Można łatwo zrozumieć, czemu Polacy – świadomie czy nie, poszli aż tak daleko. I to, jako pierwsi. Wydarzenia 1956 r. przypominały, że trwałość systemu totalitarnego w Polsce i całej wschodniej Europie gwarantują wielkie mocarstwa świata z USA na czele. A każda próba buntu zostanie zalana krwią. Rosjanie bezkarnie zmiażdżyli Węgry, Amerykanie i zachodni Europejczycy, cały Wolny Świat milcząco uznał, że ZSRR ma do tego prawo. W takich warunkach kompromis okazywał się nawet nie mniejszym złem, tylko niepełnym dobrem. Zapewniał społeczeństwu możliwość mniej więcej normalnego funkcjonowania w nienormalnych warunkach totalnego podziału świata. Co nie przeszkadzało, że był to kompromis schizofreniczny. Gomułka – i nie tylko on, bo wszyscy celebryci oraz beneficjenci komuny z krańcowym oburzeniem potępiali zbrodnie, które sami popełniali. Przecież za całe zło, do którego doszło w najbardziej krwawym, powojennym okresie, odpowiadał politycznie i moralnie *towarzysz Wiesław*, w 1956 r. idol milionów. I był gotowy do następnych zbrodni, jak wykazał grudzień 1970 r. Dość zgodnie jednak przyjęto, że ludzie, którzy krwawo niewolili Polskę – z Gomułka na czele, byli – przynajmniej niektórzy z nich, uczciwymi Polakami, tylko z sowieckimi bagnetami na karku musieli czynić to, co im kazano. W sumie PRL stał się swoistą hybrydą. Z jednej strony postępowała, chwilami skokowo, reglamentowana demokratyzacja państwa, z drugiej trwało nieprzerwanie umacnianie totalitaryzmu. Aparat władzy ulegał swoistej polonizacji, oczywiście nie w znaczeniu etnicznym, tylko moralnym i politycznym. Nowi ludzie wchodzili do PZPR, jedni ze zwykłego oportunizmu, inni gdyż dostrzegali, że mogą zrobić coś dobrego – ale będzie to możliwe dopiero wówczas, gdy znajdą się wewnątrz rządzącej partii i jej biurokratyzowanego aparatu. Była to zupełnie inna motywacja, niż uczestnictwo w aparacie władzy w pierwszym powojennym dziesięcioleciu, kiedy głównym celem było maksymalne zniewolenie Polski przez ZSRR. Ta wymiana, czy też przeobrażanie kadr nie

zmieniała jednak generalnej tendencji. Wraz z uczestnictwem w szeroko pojętej warstwie rządzącej, a zwłaszcza w toku awansowania na coraz wyższe stanowiska, niezależnie od pierwotnej motywacji, wszyscy stawali się coraz bardziej gorliwymi realizatorami przedsięwzięć, które w ostatniej linii wynikały z imperialnych potrzeb ZSRR. Innym przykładem schizofreniczności systemu było głoszenie pełnych swobód twórczych – ale dozwolonych tylko w granicach ostatniej instrukcji odpowiedniego wydziału KC PZPR. Przekonałem się o tym na własnej skórze, gdy w 1957 r. trafiłem do więzienia. Najbardziej charakterystyczny stał się jednak charakter głównego nurtu opozycji politycznej, która zaczęła ujawniać się od końca lat 60., a zorganizowany kształt przyjęła w następnej dekadzie. Otóż nie była to opozycja alternatywy, tylko generalnej akceptacji tego, co jest, z sugestią koniecznych szczegółowych poprawek. *Jeśli mamy mieć niepodległą Polskę z Berezą, to wolę taką, jaka jest* – powiedział mi wiosną 1976 r. może najbardziej zasłużony działacz opozycji, a wcześniej bohaterski powstaniec warszawski – człowiek, którego darzę najwyższym szacunkiem. Różniły nas tylko poglądy, ale działały emocje. Schizofreniczne były również stosunki pomiędzy władzą a opozycją. Totalitaryzm nie dopuszcza żadnej formy krytyki i sprzeciwu, a przecież komunistyczne władze – z przerwą na ścisły stan wojenny, a więc przez dobre dziesięć lat tolerowały istnienie opozycji, ograniczając się do indywidualnych represji. Co więcej, chwaliły się tą swoją tolerancyjnością, zabiegając o zagraniczną pomoc gospodarczą. Z kolei opozycja antytotitalarna *ex definitione* powinna występować przeciwko kanonom systemu. Tymczasem w polskim opozycyjnym *mainstreamie* dość powszechnie opowiadano się za zachowaniem ustroju socjalistycznego wersji leninowskiej (a nie zachodnioeuropejskiej socjaldemokracji), tylko w lepszym, zreformowanym wydaniu. Program *Samorządnej Rzeczypospolitej*, uchwalony na I Zjeździe „Solidarności”, nie nawiązywał do rozwiązań stosowanych przez socjaldemokrację, tylko jugosłowiańskich komunistów. Cała opozycja odwoływała się do konstytucji PRL i deklarowała, że działa w granicach jej przepisów, co w większości było nie szczere, lecz nie brakowało grup opozycyjnych, które traktowały to poważnie. Wreszcie, absolutnie schizofreniczna była maksyma, której przestrzegał niemalże ogół obywateli PRL, także ludzie uczestniczący w wysokich strukturach władzy: *co innego myśle, co innego mówię, co innego robię*.

Ta wewnętrzna sprzeczność była jednak konieczna, aby państwo i społeczeństwo mogły jakoś funkcjonować. Ustrój totalitarny trwał, choć bardzo niemrawo realizowany. Totalitaryzm wynika z przyjętych zasad, których katalog można łatwo sporządzić. Obowiązują one bezwzględnie, lecz jeśli skuteczność rządzenia staje się niska a władza słabnie, takie państwo nie przekształca się w demokrację liberalną, lecz pozostaje nadal totalitarne, tylko źle funkcjonujące. Dotyczyło to zresztą całego obozu sowieckiego, nie tylko PRL.

Stan swobodnego kompromisu pomiędzy władzą a społeczeństwem trwał przez ćwierć wieku, od Października 1956 do sierpnia 1980 r. Miało to swoje konsekwencje. Schizofreniczność narzucała oportunizm, lecz nie prowadziła do masowego cynizmu. Ogromna większość ludzi, jeżeli nawet patrzyła krytycznie na rządy PZPR, uważała je za nieuniknione, gdyż inne nie mogłyby powstać. W tych granicach rozwijała się masowa aktywność Polaków. Dawała ona wymierne efekty: odbudowano kraj, rozbudowano gospodarkę, powoli podnosił się standard życia. Formalnie kierowała tym partia i rząd, dwoiście oddziałując na procesy rozwojowe. Z jednej strony starano się pozytywnie organizować wysiłek społeczny, z drugiej kierowano go w niewłaściwym kierunku oraz dławiono wszelkie spontaniczne inicjatywy. W sumie komunistyczne władze więcej chyba przeszkadzały, niż pomagały żywiołowo rozwijającej się aktywności Polaków. Wysiłek trzydziestomilionowego narodu, nawet najgorzej kierowany, musiał dać przecież widoczne rezultaty. Miernikiem stosunku społeczeństwa do władzy stała się skuteczność tej ostatniej – i to w jednej tylko dziedzinie: w rozwiązywaniu problemów ekonomicznych. Szczególnie charakterystyczny był okres rządów Gierka. Wyrazny skok gospodarczy początku dekady, którego impulsem stały się kredyty zachodnie, ustabilizował system i zwiększył obopólne zaufania; załamanie ekonomiczne,

odczuwalne już w połowie dziesięciolecia, przyniosło lawinowy wzrost niezadowolenia, który osiągnął apogeum latem i jesienią 1980 r.

Jedynym pracodawcą był komunistyczny moloch – zespolenie totalitarnego państwa z monopolistycznym przedsiębiorstwem – superkoncernem¹. Jak w każdym przedsiębiorstwie, impulsem działania był wyłącznie zysk. Przeznaczano go jednak nie na inwestycje, tylko na potrzeby imperialnej polityki Sowietów. ZSRR rozpoczynał właśnie swoją ostatnią batalię o dominację nad światem. To wymagało maksymalnego gromadzenia środków, a tym samym znacznego pogorszenia warunków bytowania ludzi. Pozostawało to w jawnej sprzeczności z publicznie głoszoną ideologią wyzwolenia klasy robotniczej z kajdan wyzysku. Rzeczywistość obalała mit o wyższości socjalizmu nad kapitalizmem, lecz szerokie masy pracownicze nadal traktowały go poważnie. Komunizm sam dostarczał robotnikom broń przeciwko sobie. *Wszyscy mamy równe żółdki* – stało się hasłem końca lat '70. Polityka, zgodnie zresztą z regułą Karola Marksa, została sprowadzona do żądań rewindykacyjnych: dajcie nam to, co się nam należy. A należy się nam równie dostatnie życie, jak wam.

Niedostrzegalnie – bo bardzo powoli, zmianie ulegał charakter społeczeństwa. Działywały czynniki obiektywne: wymierały resztki przedwojennej inteligencji, lawinowo traciły aktywność generacje, w minionej wojnie walczące o niepodległość. Powszechne stawało się przekonanie, że skoro ludzie nie są w stanie wpłynąć na działania władz, to dążenia polityczne pozbawione są jakiegokolwiek sensu. Tym samym oddawano politykę w pacht PZPR, a ta starała się ją wykorzystać głównie do indoktrynacji społeczeństwa. Charakterystyczny był mit o tysiącletnim zagrożeniu niemieckim, aktualnie w postaci RFN. Zmasowane argumenty, głoszone po liście biskupów polskich do niemieckich, do dzisiaj są powtarzane w niezmienionej postaci, zwłaszcza przez ludzi, którym wpojono je w szkołach w czasach Gomułki. Głajchszaltacja społeczeństwa, ustawiczne równanie w dół, prowadziło do trwałych skutków.

Zawarty ongiś kompromis ulegał zapomnieniu. Oficjalnie zastępował go mit o jedności ideowo-moralnej komunistycznej władzy i społeczeństwa – katolickiego w przeważającej masie. W rzeczywistości narastał bardzo głęboki konflikt socjalny – radykalny w swych żądaniach rewindykacyjnych, ale odżegnujący się od polityki. Korespondowało to ze zmianami w PZPR, całkowicie już zbiurokratyzowanym i redukującym politykę do wąskiego piaru.

W takiej sytuacji myśl polityczna znalazła schronienie w podziemiu. Wykształciły się tam trzy główne środowiska polityczne, opozycyjne wobec istniejącej rzeczywistości. Najmłodsze było najsilniejsze. Nie określało się zbyt precyzyjnie, z pewnym uproszczeniem możemy nazwać je socjal-demo-liberalnym. Socjalizm był raczej chowu sowieckiego niż zachodniego, gdyż siłą rzeczy punkt odniesienia stanowiła rzeczywistość PRL. Wyrosło ono w latach 60. w środowiskach młodzieżowych na pograniczu liberalnej frakcji PZPR, przewodziło rewolcie studenckiej 1968 r., a wyrzucone poza nawias legalnego działania, rozwijało się w warunkach na wpół konspiracyjnych i znalazło partnera – a okazjnie schronienie, w koncesjonowanych stowarzyszeniach progresywnych katolików, wyrosłych zresztą z nurtu neopozytywistycznego. Ten sojusz młodej lewicy laickiej z postępowym młodym katolicyzmem niezbyt świadomie nawiązywał do wyidealizowanego wzorca Października. Wszystko to, czego wówczas nie zrealizowano należycie, zamierzano powtórzyć, lecz w lepszym, bo starannie przemyślanym wydaniu.

Drugie środowisko, silnie związane z Kościołem, było kontynuacją chrześcijańskiej i narodowej demokracji. Skupiało się na kwestiach podstawowych: biologicznym przetrwaniu narodu oraz obronie tradycyjnych wartości moralnych i kulturowych. Nie miało większych ambicji czynnego udziału w polityce – uznając, że warunki geopolityczne na to nie pozwalają.

Trzecie środowisko było najsłabsze, lecz chyba najlepiej przygotowane intelektualnie i organizacyjnie do nadchodzącego czasu burzy i naporu. Miało charakter najbardziej zamknięty i całkowicie zakonspirowany. Skupiało wąskie środowiska piłsudczykowskie, określające się

1 Por. L. Moczulski, *Moloch. Państwo jako przedsiębiorstwo, społeczeństwo jako siła robocza*, Warszawa 1985/2013.

wewnętrznie jako nurt niepodległościowy (nn). Słabość liczebna wynikała głównie z determinacji wcześniejszy działań, gdy nie żałowano krwi, a także z faktu, że środowiska niepodległościowe zarówno Niemcy, jak Sowieci i ich polscy pomocnicy traktowali najokrutniej. Jakość przygotowań była z kolei rezultatem bardzo starannego, rygorystycznego doboru kadr. Przeważali ludzie wysoce kompetentni w swoich dziedzinach, o dużym doświadczeniu teoretycznym i praktycznym. Miałem okazję przekonać się o tym wkrótce po przyjęciu do nn w 1959 r., gdy jako prawnika-konstytucjonalistę z wykształcenia skierowano mnie do zespołu pracującego nad modernizacją Konstytucji Kwietniowej 1935 r.

Działaliśmy w ścisłej konspiracji, co uniemożliwiało spotkanie się w większym gronie, wszystko trzeba było prowadzić w indywidualnych rozmowach oraz wzajemnym przekazywaniu pisemnych propozycji i opiniach. W porównaniu z dobrze mi znanymi seminariami uniwersyteckimi, prowadzonymi przez wybitnych procesorów, był to poziom znacznie wyższy, mimo bez porównania trudniejszych warunków pracy. Jednak, bez względu na przeszkody, już pod koniec lat 60. dysponowaliśmy projektem konstytucji, dopasowanym do warunków końca XX wieku oraz do istotnych cech charakteru Polaków. Projekt ten przedstawiłem w książce, wydanej w połowie lat 80. w drugim obiegu w Kraju oraz w Paryżu, a bez konieczności jakiś istotnych zmian, złożyłem w Komisji Konstytucyjnej, powołanej przez Sejm w 1992 r. W porównaniu z innymi zadaniami kodyfikacja konstytucji należała do najłatwiejszych. Głównym przedmiotem naszych prac było przygotowanie zarówno programu działania, prowadzącego do odzyskania niepodległości, jak też projektów niezbędnych, gdy zaczną funkcjonować Trzecia Rzeczypospolita.

Przewidzieliście wybuch społeczny w końcówce lat 70. na podstawie analizy demograficznej i ekonomicznej. Uczestniczyliście w tworzeniu demokratycznej opozycji, inicjowaliście Wolne Związki Zawodowe, chłopski ruch protestu, powołaliście KPN z zadaniem uwolnienia Polski spod władzy sowieckiej, zapowiadaliście upadek PRL i odzyskanie niepodległości przez Polskę. Wszystko to większość struktur opozycyjnych bardzo długo uważała za niemożliwe. Jak do tego dochodziliście?

Myślę, że działały dwa czynniki. Po pierwsze, nie zajmowaliśmy się żadnymi ideologiami, nie badaliśmy doktryn filozoficzno-społecznych, nie organizowaliśmy dialogu pomiędzy katolikami a marksistami, nie rozważaliśmy, czy równość i wolność są z sobą sprzeczne. Zajmowaliśmy się wyłącznie polityką, traktowaną jako działanie profesjonalne, a więc wymagające przygotowania intelektualnego i organizacyjnego. Po drugie nie interesowało nas, czy i jak można zreformować PRL. Nie traciliśmy na to czasu. W sytuacji pełnej zależności od ZSRR wszystkie zmiany musiały uzyskać aprobatę Moskwy, a to przekreślało możliwość rzeczywistej reformy, nawet najlepiej pomyślanej. Warunkiem wyjściowym, pozwalającym na prawdziwe i trwałe zmiany, było odzyskanie niepodległości, co samo przez się powodowało likwidację PRL – satelickiego tworu powołanego przez Sowiety.

Skupienie się na realnej polityce wymagało od nas nieprzerwanej analizy zmieniającej się rzeczywistości międzynarodowej, wewnątrz obozowej i krajowej. Jedna i druga ulegały istotnym przemianom. O tych drugich już wspominałem. System światowy pod koniec lat 60. ulegał radykalnej zmianie: z dwubiegunowego stawał się wielobiegunowy, a trzeci biegun, zarówno geopolityczny, jak ideologiczny wyrastał w Chinach. Dzisiaj nie dostrzega się tej przemiany, przyćmiły ją późniejsze wydarzenia, ale odbierali ją współcześni; pisałem o tym w wydanej w 1971 r. książce „Dylematy” – wkrótce potępionej i wycofanej z księgarń². Była ona częściowym tylko, głównie ze względu na cenzurę, przedstawieniem wyników badań, prowadzonych przez nas na bieżąco. Prognozy przekształceń układów geopolitycznych pozwalały nam przewidywać działania mocarstw, a w tworzoną przez nie systemie sprzężeń można było wyznać luki do

2 L. Moczulski, *Dylematy. Wstęp do historii Europy zachodniej 1945–1970*, Warszawa 1971.

wykorzystania. Jedna okazała się wystarczająco duża. W wyniku wieloletnich, różnorodnych manewrów, w sierpniu 1975 r. doszło w Helsinkach do swego rodzaju zawieszenia broni pomiędzy Zachodem i ZSRR. USA były rozbite wewnętrznie po aferze Watergate, kryzysie naftowym i klęsce wietnamskiej. Europa zachodnia szukała jakiegoś stabilizującego porozumienia z ZSRR. Moskwa czuła się panem sytuacji. Dwa lata wcześniej – w 1973 r. – pojawiła się okazja do położenia łapy na Bliskim Wschodzie, ale bariera NATO, przecinająca basen Morza Śródziemnego, uniemożliwiła interwencję zbrojną ZSRR w konflikt egipsko-izraelski. Zapory nie dawało się obejść – okazja uciekła Moskwie przed nosa. Dlatego w ciągu dwu następnych lat Związek Sowiecki doprowadził do Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (KBWE). Strony gwarantowały sobie nienaruszalność podziału Europy, w zamian za co ZSRR uzyskiwał wolną rękę w strefie afro-azjatyckiej. Pozwalało to na przebiecie się Sowietów na południe, do Oceanu Indyjskiego – i bezpośrednie dotarcie do naftodajnej strefy od wschodu. Wtedy nagle urosło strategiczne znaczenie Afganistanu. Rosjanie również zapłacili za Helsinki, akceptując zachodnią, uznaną przez ONZ zasadę przestrzegania praw człowieka. Dla Polski pojawiła się sytuacja wyjątkowa. Przy utrzymywaniu zamrożonych frontów zachodniego i wschodniego (chińskiego), skierowanie głównych sił sowieckich na południe wymagało utrzymania politycznego rozejmu na zachodzie – co najmniej do momentu, gdy droga do Bliskiego Wschodu zostanie otwarta. Oznaczało to m. in., że w strefie zależnej od ZSRR, a w szczególności w PRL komuniści musieli zachowywać wszelkie pozory, a więc nie stosować otwartych politycznych represji. Konieczność takiej, czasowo zliberalizowanej polityki, była również pochodną nowych możliwości, jakie przed Moskwą otwierały się w zachodniej Europie. We Włoszech powstała szansa utworzenia rządu z udziałem komunistów, co dawało Sowietom dostęp do wnętrza NATO; w RFN socjaldemokratyczny kanclerz Helmut Schmidt powoli zaczynał się skłaniać do neutralizacji tego państwa; we Francji prezydent Giscard d'Estaing zabiegał o zbliżenie z ZSRR. W obliczu tak wielkich perspektyw, dla Kremla bez znaczenia było, że Gierek będzie miał kłopoty z jakimiś grupkami dysydentów; w ZSRR zresztą coś podobnego funkcjonowało już od pewnego czasu, a w środowiskach intelektualnych kolportowano *samizdat* – i ustrój z tego powodu się nie zawalił. Dla nas sformowanie takich *małych grupek* miało kluczowe znaczenie. Ze wspomnianych przez Ciebie analiz demograficznych, prowadzonych przez nas od końca lat 50. wynikało niezbicie, że trwający przyrost energii społecznej osiągnie apogeum około 1980 r. Ponieważ władze nie były w stanie tej energii zagospodarować, powstawała klasyczna sytuacja rewolucyjna. Otóż, wcześniejsze pojawienie się opozycji politycznej, choćby najskromniejszej liczebnie, pozwalało ukierunkować cały proces. Co więcej, we względnie krótkim czasie, ten ruch sprzeciwu mógł liczyć na nagłe i masowe poparcie. Eksplozja społeczna w Polsce, jak wszystko wskazywało, znacznie potężniejsza od poprzednich, radykalnie zmieniała sytuację nie tylko w obozie sowieckim, lecz w całej Europie. Powstawały warunki, w których odzyskanie przez Polskę niepodległości stawało się realne. Dlatego w ciągu dwu tygodni po podpisaniu Aktu Końcowego KBWE zapadła nie tylko decyzja, lecz rozpoczęliśmy bezpośrednie przygotowania organizacyjno-techniczne do powołania partii.

Muszę się cofnąć w czasie i przypomnieć, że jeszcze w 1969 r. otrzymałem zadanie stworzenia całkowicie wyodrębnionej komórki, która zadaniem było przygotowanie powstania partii niepodległościowej. Z czasem otrzymała ona kryptonim „Konwent”. Od tej pory prace analityczne i programujące rozwijały się dwutorowo: bardziej ogólne kontynuowano w tym samym kształcie organizacyjnym, zwanym *chaotyczną strukturą*, a szczegółowo rozpracowywał je Konwent. Ważniejsze ustalenia wracały zresztą na forum nn, gdzie poddawano je ostatecznej analizie. Taka dwustopniowość wynikała nie tylko z wyjątkowo rygorystycznie traktowanych zasad ścisłej konspiracji, lecz również z wymogów życia. Nurt niepodległościowy skupiał w większości osoby w raczej podeszłym wieku. Wiadomo było, że to nie oni poprowadzą jawne działania niepodległościowe – tylko młodsze pokolenie. Dobierano nas starannie, poddawano starannemu szkoleniu, dopuszczano do coraz poważniejszych zadań. Wspomnianą komórkę powołano dziesięć lat przed spodziewanym wybuchem społecznym i nadano jej absolutnie

samodzielny statut. Podejmowaliśmy decyzje, nikogo wcześniej nie pytając, tylko raportując, jeśli była taka potrzeba, co postanowiliśmy. Jedynie kluczowe kwestie koncepcyjne przekazywaliśmy do oceny. M. in. sami podjęliśmy decyzję o podjęciu półjawnych działań. Pierwsze było pozornie rocznicowe spotkanie 11 listopada 1973 r. grupy kilkudziesięciu osób w poznańskim mieszkaniu Staniewiczów³, generalnie spoza nn i o różnych przekonaniach, na którym miałem referat „Obowiązek naszego pokolenia”. W tym czasie w skład Konwentu wchodził Leszek Moczulski, Restytut Staniewicz, Romuald Szeremietiew, Andrzej Szomański – oraz w ograniczonym zakresie Ryszard Żywiecki.

Otóż w połowie września 1975 r. w mieszkaniu Romualda Szeremietiewa doszło do zwołanej przez Konwent odprawy roboczej, podczas której nie zastanawialiśmy się, czy podjąć i jakie akcje, lecz rozdawaliśmy gotowe zadania poszczególnym osobom. Po kilkunastu latach przygotowań, wiadomo było, co trzeba zrobić i w jakiej kolejności. Mieliśmy gotową doktrynę działania, później nazwaną *rewolucją bez rewolucji*. Była to forma powstania, skoncentrowanego na uderzeniu społecznym i politycznym, przy żelaznej zasadzie unikania starcia fizycznego – bo te musiała wygrać władza. Wcześniej, zgodnie z koncepcją *góry lodowej* kolejne fragmenty struktury opozycyjnej miały wynurzać się na powierzchnię, gdy pod wodą pozostawało całe zaplecze polityczne, kadrowe, organizacyjne i techniczne. Główną siłą uderzeniową miały być środowiska robotnicze, wstępnie już zorganizowane przez komunistyczną władzę zgodnie z potrzebami organizacyjnymi superkoncernu. Stąd gotowy projekt Wolnych Związków Zawodowych – narzędzia ataku i destabilizacji, a nie samopomocy pracowniczej. Wspierać go miał ruch chłopski, formowany z wykorzystaniem dawnych struktur PSL. Do kluczowych zadań należało szybkie zorganizowanie jawnie działającej sieci biur organizacyjnych oraz uruchomienie periodycznych i ulotnych wydawnictw. We wszystkich tych zakresach przygotowaliśmy szczegółowe rozwiązania, a także najrozmaitsze taktyczne chwytły i tricki. Na ich wymyślanie mieliśmy wcześniej aż nadmiar czasu. Ponieważ nikt z nikąd nie dawał nam pieniędzy, cała działalność musiała być samofinansująca się, tj. pochodzić ze środków własnych uczestników i pomocy sympatyków. Wreszcie – było nas względnie niewielu, pierwszym zadaniem stało się uruchomienie kanałów do znanych nam grup i środowisk kształtujących się w podziemiu, aby wspólnie rozpocząć działania. Obradowaliśmy w malutkiej kawalerce, aby zapalić papierosa, trzeba było wychodzić na klatkę schodową. Pamiętam, jak podczas takiego wyjścia, zapytał mnie Romek Szeremietiew – *Leszek, czy ja śnię, czy to dzieje się naprawdę?* Coś mu odpowiedziałem, ale również miałem poczucie absolutnej nierealności. Ale wszystko poszło – i to bez większych zgrzytów.

Powiedziałeś, że Moskwie zależało, aby żadne represje nie naruszały dobrych stosunków z Zachodem. Ale przecież brutalnie stłumiono strajki czerwcowe 1976 r.

To dobry przykład. Gierek bardzo starannie przygotowywał się do ogłoszenia podwyżki cen, MSW przeprowadzała badania, jak przyjmą to ludzie. Uznano, że do niczego nie dojdzie. Dlatego strajki w Ursusie i Radomiu były ogromnym zaskoczeniem, a brutalna reakcja SB i MO nastąpiła automatycznie. Jednak błyskawicznie, być może po interwencji Moskwy, władze PRL przeszły do odwrotu. Jeszcze tego samego dnia premier Jaroszewicz odwołał podwyżki – co niewątpliwie uspokoiło sytuację w kraju. Później władze zachowywały się z nietypowym liberalizmem. Doszło do procesów, ale były one jawne i dopuszczono obecność obserwatorów ze środowisk opozycyjnych, a także organizacje pomocy dla uwięzionych robotników i ich rodzin. Siłą rzeczy tworzyło to sytuację, w której możliwe stało się utworzenie Komitetu Obrony Robotników Represjonowanych w Wyniku Protestów Społecznych w Czerwcu 1976 – jak brzmiała pełna nazwa KOR. Władze nie zareagowały, mimo iż powstanie jawnej struktury opozycyjnej było znacznie większym zagrożeniem niż odosobnione strajki. Wpłynęło na to potępienie represji przez

3 Nieżyjący już prof. Witold Staniewicz był związany z Józefem Piłsudskim od czasu formowania Związku Strzeleckiego – i należał do najstarszych członków nn.

Berlingera – szefa WPK. Uczyniło to przecież nie z dobrego serca, tylko ratując koncepcje utworzenia we Włoszech rządu Wielkiej Koalicji z udziałem komunistów. Taki wyłom w strukturze NATO miałby kluczowe znaczenie dla ZSRR.

Chyba tylko wy przewidzieliście eksplozję społeczną i wprowadziliście ją do swoich planów.

Tak wygląda. Nie świadczyło to jednak o naszej wyjątkowej mądrości czy lepszym wykształceniu – tylko wynikało ze szczególnych, ogólnie korzystnych dla nas warunków. W stosunku do władz dysponowaliśmy trwałą przewagą sytuacyjną. Przez lata skupialiśmy całą uwagę na przygotowaniach, bo nie prowadziliśmy przecież bieżącej działalności politycznej. To narzucało nam myślenie wyłącznie perspektywiczne, wymagało szczególnej konsekwencji intelektualnej, rozpatrywania wszystkiego pod kątem wytyczonego jasno długiego marszu. Mieliśmy zresztą w nurcie niepodległościowym dobrych nauczycieli – ludzi o doświadczeniu politycznym sięgającym 1905 r., którzy dużo wcześniej, z racji swych cech osobistych i profesjonalnego przygotowania pełnili poważne funkcje państwowe, dowódcze, sztabowe, administracyjne czy gospodarcze. Dla nich myślenie systemowe, korzystanie z systematycznie ponawianych analiz politycznych, gospodarczych, demograficznych, kulturowo-świadomościowych czy strategicznych było czymś niezbędnym. Pozwalało to nam pełniej korzystać z aparatu pojęciowego i analitycznego, wypracowanego jeszcze w okresie przedwojennym przez środowiska piłsudczykowski-sanacyjne. Pracowaliśmy w warunkach swoistego komfortu intelektualnego: wolni od konieczności codziennego rozstrzygania, odnoszenia się do izolowanych faktów, obracaliśmy się myślowo w świecie długotrwałych procesów i przeobrażających się zjawisk.

Zupełnie inną perspektywę ma polityka widziana z pozycji rządzących. Normalną rzeczą jest konieczność natychmiastowego reagowania na to, co się dzieje. Lepsze czy gorsze rozwiązywanie pojawiających się codziennie problemów pochłania lwią część czasu. Nie starcza go na zajmowanie się dalszą przyszłością, co powoli przechodzi w przyzwyczajenie. W realnym socjalizmie wszystkie rządy skupiały się na sprawach bieżących, głównie na przełamywaniu *przejściowych trudności*. Sowietci nigdy nie opisali bardziej szczegółowo drogi, która doprowadzi ich do marksowskiego komunizmu, albo do geopolitycznej władzy nad światem. Nawet jeśli próbowali, okazywało się to naiwnym nieporozumieniem. Rygorystycznie traktowano przygotowanie planów gospodarczych, lecz tej konsekwencji brakowało przy ich formowaniu, gdzie można było zapisać, co się chciało. Wszyscy wiedzieli, że plany muszą być wielokrotnie zmieniane w toku realizacji. Gdy wybiegali w przyszłość, to tylko w tę najbliższą – i nie stać ich było na stanowcze prognozy. Dlatego – choć sprzeciw społeczny w różnym stopniu występował przez całą historię PRL, a zorganizowana opozycja funkcjonowała przez jakieś 15 lat, nigdy nie byli w stanie przygotować całościowego planu likwidacji czy wygaszenia tego największego zagrożenia dla realizowanego totalitaryzmu. Wszystko przesłaniały potrzeby chwili. Do tego dochodziło słabe przygotowanie głównych decydentów. Zarówno Gomułka, jak Gierek skończyli po kilka klas podstawówki; pierwszy miał za sobą niższy szczebel szkolenia marksizmu-leninizmu w stalinowskim wydaniu, drugi był człowiekiem z nikąd⁴. Górował nad nimi kulturą i wykształceniem Jaruzelski – ale była to przewaga niewielka. Nie miał przygotowania politologicznego, był zawodowym wojskowym, niewątpliwie inteligentnym, lecz analizując prowadzone przez niego gry operacyjne i ćwiczenia sztabowe przewidujące użycie broni nuklearnych, z pewnym zdumieniem można zauważyć, że nie znał, albo nie rozumiał aktualnych zasad amerykańskiej doktryny wojennej. Widocznie była to wiedza tajemna, zastrzeżona dla sowieckich ekspertów. Członkami Biura Politycznego KC PZPR bywali z reguły również *towarzysze z inteligencji*, ale ich głos ważył znacznie mniej niż *klasowo czystych* – nieskalanych jakimiś studiami. Dodać do tego należy, że we wszystkich węzłowych kwestiach i tak

4 Nikt nie słyszał o nim ani w KPP, ani w komunistycznych partiach francuskiej i belgijskiej. Gdy ambasada PRL otrzymała polecenie, aby postawić go na czele nowo-tworzonego Związku Polaków w Belgii (zapewne przykrywką jakiejś siatki szpiegowskiej), nikt nie wiedział, o kogo chodzi. Po wezwaniu to Polski i krótkim kursie posługiwania się językiem polskim w słowie i piśmie (przedstawia to w „Dziennikach” jego nauczyciel – Mieczysław F. Rakowski – wówczas odkomenderowany z wojska instruktor KC PZPR) został Sekretarzem KW PZPR w Katowicach, a na najbliższym Zjeździe członkiem Biura Politycznego.

rozstrzygały decyzje Moskwy, nie podlegające przecież dyskusji.

Inaczej przedstawiały się sprawy w opozycyjnym *mainstreamie*. Nie brakowało tam ludzi myślących i dobrze wykształconych; w dość szerokim zapleczu nurtu liberalno-demokratycznego było ich aż nadmiar. Rzecz w tym, że wszyscy chyba byli przekonani, że dwubiegunowy układ geopolityczny, a więc i zwierzchnictwo ZSRR nad środkowo-wschodnią Europą ma długą przyszłość. Jeśli tak, to wydarzenia międzynarodowe nie mogły mieć większego znaczenia na to, co dzieje się w Polsce; Amerykanie przecież nie przybędą tutaj, aby zmienić ustrój. W młodszej, aktywnej politycznie generacji np. początkowo nie rozumiano, czemu należy zwracać się do Berlinguera w sprawie represjonowania robotników – a to przecież okazało się kluczowym faktem. Po latach, podczas rozmów o utworzeniu koalicyjnego rządu w końcu 1991 r. jeden z wybitnych działaczy KOR, wówczas już działacz prawicowy, za moją wielką zasługę uznał zwrócenie uwagi na konflikt sowiecko-chiński. Rzeczywiście, wiosną 1977 r. na jakimś przypadkowym spotkaniu w Klubie Inteligencji Katolickiej przedstawiałem aktualną sytuację. Mniej więcej to, o czym mówiłem przed chwilą: ZSRR militarnie związany przez NATO i Chiny kieruje się na południe, co zapewnia nam czasowe bezpieczeństwo. Facet najwyraźniej nic nie zrozumiał, a konflikt chińsko-sowiecki był dla niego takim zaskoczeniem, że go zapamiętał. Tyle, że konflikt ten trwał wówczas od dobrych dwudziestu lat – a jedynym wielkim wydarzeniem tego okresu, który mój rozmówca znał, była mikroskopijna ruchawka Che Guevary w głębi peruwiańskich Andów. Minimalistyczne ustawienie celu – demokratyzacja istniejącego systemu przy zachowaniu jego kanonów ideowych, powodowało, że wszystko miało się rozegrać w jakiejś izolowanej rzeczywistości pojedynczego kraju, a co najwyżej całego obozu. Ograniczenie było więc podwójne: zamknięty zakres celów, możliwych do osiągnięcia w zamkniętym obszarze. Wszystko, co mieściło się poza – było nieistotne. Dochodziło do tego przekonanie, typowe zarówno dla radykalnego klasowo socjalizmu jak i leninowskiego komunizmu, że samorzutne, masowe wystąpienia społeczne mogą być niebezpieczne, a nawet szkodliwe. Nigdy nie wiadomo, dokąd żywioł może doprowadzić. Przy ogromnej przewadze dyskursu ideologicznego nad prostą analizą mechanizmów prowadzących do autentycznych przemian społecznych i kształtujących nowy stosunek działających sił, takie np. badania demograficzne były pozbawione celu. Decydowała wyższość ideologii, a nie jakieś zmiany ilościowe. Nawet w rozwiązywaniu najbliższych problemów. U progu epoki opozycyjnej Adam Michnik, zapewne najinteligentniejszy w całej młodszej generacji, wydał książkę trafnie postulując połączenie wysiłków lewicowej inteligencji laickiej oraz progresywnych katolików. Była to doskonała koncepcja dla środowisk dysydenckich. Mogła być zrealizowana jednak tylko wysoko ponad społeczeństwem – bo na dole dominowali rewindykacyjni para-socjaliści oraz tradycyjni katolicy.

Wracając do przerwanego tematu – eksplozji społecznej, to w owym czasie sporo mówiło się o możliwości robotniczego buntu na wzór grudnia 1970 r. Uważano to jednak za kwestię teoretyczną. Wiele osób, w tym wybitnych opozycjonistów było przeciwko, gdyż obawiali się, że podobny wybuch wywoła natychmiastową reakcję sowiecką i wszystko skończy się równie krwawo, jak na Węgrzech. Mówiono to głośno, choć na pewno występowały i nie ujawniane źródła niepokoju. Ale na ogół panowało przekonanie, że takie masowe wystąpienia społeczne są nierealne. Wyprowadzano to z zachowania władz, które czyniły wiele, aby jakimś niebacznym krokiem nie spowodować robotniczych protestów. Tylko, że padająca gospodarka żądała podjęcia bardziej stanowczych działań. Dodajmy do tego, że niemal powszechnie nie dostrzegano czy niedoceniano przeobrażeń, następujących w postawach społecznych Polaków. Nawet „Kultura” paryska, która dla licznych środowisk polskich, zwłaszcza opozycyjnych, była rzeczywistym przewodnikiem intelektualnym, w podwójnym numerze datowanym na lipiec-sierpień 1980 opublikowała dwa artykuły zapewniające, że w PRL panuje całkowita stabilizacja i tylko Moczulski awanturniczo fantazjuje o jakiejś rzekomo nadciągającej eksplozji społecznej. Muszę przyznać, że we wrześniu 1980 r. – kiedy ten numer dotarł do Kraju, czytałem te zapewnienia z dużą satysfakcją.

Na czym oni opierali takie przekonania? Mogli się powoływać na jakieś fakty?

Nie wiem. Podawana argumentacja była wątła. Formuła KSS KOR wyczerpała się, co zmniejszało napływ wolontariuszy – ale to trudno było uznać za postępujące uspokojenie społeczne. To zresztą dość typowa sytuacja, gdy politycy tak bardzo zasklepiają się w swoich taktycznych rozgrywkach i problemach chwili, że przestają dostrzegać rzeczywistość. W tym przypadku być może interesowało ich coś innego. Rzeczywiście, czas był przełomowy – i tworzył najrozmaitsze możliwości. ZSRR po inwazji na Afganistan wchodził w decydującą fazę swej globalnej polityki. Potrzebne mu było uspokojenie sytuacji w Polsce – i to niewymuszone siłą, tylko zaprowadzone pokojowo. Z drugiej strony opozycja w Polsce przestała już być traktowana, jako grupka utopijnych naiwniaków czy marzycieli i stawała się ważnym faktorem polityki, brany już pod uwagę na płaszczyźnie międzynarodowej. Otwierały się szanse dla różnych gier politycznych. Gdybym dążył do reformy PRL, na pewno wykorzystałbym taką sytuację dla osiągnięcia jakiś doraźnych celów.

Jednak to eksplozja społeczna, a nie jakieś taktyczne zagrania odgrywały w naszej doktrynie politycznej kluczową rolę. To miała być forma niezbrojnego powstania narodowego. Jak pisałem w „Rewolucji bez rewolucji”, wybuch społeczny należało natychmiast *przekształcić w masowe działanie oparte na trzech zasadach: strajk okupacyjny zamiast konfrontacji ulicznej, powszechność strajku we wszystkich regionach i dziedzinach gospodarki, samoorganizacja*. Prowadziło to do obezwładnienia władzy i otwierało drogę do realizacji pięcioletniego programu dojścia do niepodległości. W istniejących warunkach stał się on realny – jakkolwiek nie natychmiastowo. Rosja, przynajmniej w dość krótkim terminie, nie była w stanie zrezygnować ze swojego wielkiego planu, opisanego wyżej, co zapewniało nam bezpieczeństwo zewnętrzne. Z kolei nadchodzące apogeum przyrostu energii społecznej dawało siłę, zdolną w tym krótkim czasie zdruzgotać totalitarny system. Liczyliśmy się z przeciwdziałaniem, wprowadzając spóźniony, ale mocny. Tworzyło to sytuację dwufazową. Komunistyczny kontratak miał zresztą również i swoje ogromne zalety, gdyż demaskował czynami, że rządzący to tylko antypolskie narzędzie Moskwy. Za przewidywanie tej dwufazowości byłem ostro krytykowany podczas tzw. festiwalu „Solidarności”, który zresztą obserwowałem z więzienia. W każdym razie eksplozja była dla nas najważniejsza, trzeba było tylko dobrze ją poprowadzić.

Dlatego w decydującym momencie, we wrześniu 1980 r. – tylko ty, znalazłeś się w więzieniu.

Nie przeszkodziło to, że wybuch społeczny i powstanie „Solidarności” rzeczywiście zdruzgotały system, a ZSRR stracił możliwość kontynuowania w kategoriach globalnych polityki agresywnej ekspansji. To był decydujący krok w całej rewolucji bez rewolucji. Inna rzecz, że późniejsze wydarzenia mogły przebiec szybciej i znacznie mniejszym kosztem.

KPN jako jedyne ugrupowanie głosiła również, że odzyskanie niepodległości, rozumiane jako czynne wyzwolenie się spod sowieckiej hegemonii, jest tym bardziej realne, że ZSRR ulegnie kompletnemu załamaniu.

Wynikało to już z analiz, prowadzonych na początku lat 60. Punktem wyjścia była istniejąca na przełomie tych dekad, krótkotrwała przewaga ZSRR nad USA w konstruowaniu rakiet kosmicznych (*Missile Gap*). Zadawaliśmy sobie pytanie, jakim kosztem kraj słabiej rozwinięty gospodarczo i dość zacofany technologicznie wyprzedził mocarstwo przodujące w obu tych dziedzinach. Nie wchodząc w szczegóły dotyczące naszych, coraz szerzej zakreślanych badań, głęboko przeanalizowaliśmy i szczegółowo uzasadniliśmy intuicyjnie przyjmowaną tezę, że ZSRR rozwija zbrojenia i prowadzi agresywną politykę zagraniczną nie w oparciu i posiadany potencjał dyspozycyjny, tylko kosztem substancji – tj. ogółu posiadanych zasobów, od ludzi poczynając. Mówiąc prościej, podstawowa wartość, jaką jest potencjał geopolityczny, żywiła ekspansję nie z uzyskiwanych nadwyżek, tylko zżerając samą siebie. Względnie szybko potwierdzały to kolejnymi zjawiskami. W latach '60 ZSRR ogromnym

wysiłkiem budował potęgę nuklearno-rakietową – ale wyścig technologiczny z USA jawnie przegrał, Unaocznio to w 1969 r. lądowanie Amerykanów na księżycu. Co gorsza, w wyniku tego krańcowego wysiłku, obóz sowiecki na przełomie dekad '60/70 znów znalazł się w dołku ekonomicznym. Wydostał się z niego przy pomocy kredytów zachodnich, ale nie przerwał kontynuowania samobójczej polityki ekspansji – co musiało prowadzić do katastrofy. ZSRR był po prostu zbyt słaby, aby rywalizować z USA.

Decydowały potencjały gospodarcze.

Wysuwały się niewątpliwie na plan pierwszy. Propagowaliśmy przez wiele lat bardzo proste rozumowanie. Istniejąca równowaga zbrojeń między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim pozwala założyć, nakłady na zbrojenia obu mocarstw można w przybliżeniu uznać za równe. Jednak, przynajmniej w latach 1950–1970 dochód narodowy (PKB) USA był w przybliżeniu cztery razy większy od sowieckiego. Jeśli więc przyjmujemy, że Sowieci wydawali na zbrojenia 50% PKB, to Amerykanie tylko 12,5%. Oznaczało to, że Rosjanie nie są w stanie uzyskać przewagi, gdyż koszty zbrojeń – czy w ogóle agresywnej polityki wywindowali tak wysoko, że dalej już iść nie mogli. Natomiast Amerykanie mieli duży zapas i mogli łatwo zwiększyć zbrojenia. Przy czym obciążenie zbrojeniami, dławiące Sowiety, dla amerykańskiej gospodarki okazywało się pożyteczne. Zbrojenia, badania kosmiczne itp. oparte były o długoterminowe umowy pomiędzy państwem a bardzo licznymi przedsiębiorstwami, co po prostu stanowiło gwarantowany popyt. Nie ulegał on wahaniom koniunkturalnym i był czynnikiem stabilizującym całą gospodarkę. Słowem, nie były to obciążenia, tylko czynnik stymulujący wzrost. Natomiast w Rosji sytuacja była inna. Tam rozbuchany przemysł zbrojeniowy pochłaniał większość środków i nawet substancję, co dławiło całą gospodarkę.

Mówiąc systemowo, działały dwa mechanizmy. Sowieci, utrzymując tak wysoki poziom zbrojeń nie tylko hamowali własny rozwój gospodarczy, lecz równocześnie bezpowrotnie zużywali część swojego potencjału geopolitycznego. Nieuchronnie prowadziło to do katastrofy potencjałowej, a wzrost ekspansywności tylko takie zagrożenie przyspieszało. Natomiast mechanizm amerykański działał stymulująco na gospodarkę, przy czym pozostawała spora rezerwa na intensyfikację zbrojeń. Gdy Sowieci rozwiną ekspansję – do czego przecież zmierzali, tym samym zaostrzając zimną wojnę, a Amerykanie będą musieli zareagować, m.in. zwiększając zbrojenia, to doprowadzi do wyścigu w warunkach, gdy Rosjanie wyśrubowali swoje wydatki ponad realne granice. Taką politykę zastosował później Reagan, co szybko doprowadziło do katastrofy potencjałowej ZSRR.

Od początku zakładając, że tak będzie, z radością odnotowywaliśmy, jak w następstwie Helsinek Sowieci przegrupowali swoje siły i rozpoczęli potężniejącą presję na południe. Fakty nie kazały długo na siebie czekać. Wiosną 1977 r. władzę w Afganistanie przejęli komuniści, a niespełna trzy lata później, pod osłoną krwawej wymiany rządzącej ekipy, kraj zaczął być okupowany przez wojska sowieckie. Iran, przy pewnej pomocy Moskwy, ogarnęła islamska rewolucja, w Iraku władzę przejął coraz bardziej pro-moskiewski Saddam Hussain, w Pakistanie czasowo doszła do władzy partia szukająca m.in. wsparcia sowieckiego. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych Środkowy Wschód dezintegrował się gwałtownie, otwierając drogę dla sowieckiej ekspansji – to musiało doprowadzić do czynnej reakcji USA. Amerykanie zresztą wstępnie przygotowywali się do tego, m.in. prezydent Carter i Brzeziński doprowadzili do poważnego uspokojenia sytuacji wokół Izraela.

W tym samym czasie w Polsce kolejne roczniki wyżowe przekraczały próg dorosłości. Ostatni, trzynasty z rzędu, czynił to w 1980 r. Tym samym najbardziej dynamiczna część społeczeństwa wzrosła do ponad jednej czwartej całej dorosłej populacji. Był to stan, który w Europie pojawiał się rzadko, a niósł z sobą ogromne zmiany. Taki zasób energii społecznej potrafił w XVIII w. w Wielkiej Brytanii konstruktywnie zagospodarować – i przeprowadzona rewolucja przemysłowa zapewniła Zjednoczonemu Królestwu dominację na następne 200 lat. W pozostałych przypadkach dochodziło do udanych rewolucji. Otóż, komuniści udowodnili czynami, że nawet przy pełnym

zatrudnieniu nie potrafią zagospodarować gwałtownie rosnącej energii społecznej – a ponieważ nie daje się ona magazynować, musi dojść do wybuchu, najprawdopodobniej już w 1980 r. Zgodnie z taką prognozą planowaliśmy nasze zadania. Koncepcja *góry lodowej* przewidywała nie tylko stopniowe wynurzanie się struktur, lecz również zaostrzanie tonu politycznego i stopniowe ujawnianie naszych celów. Pierwszą jawną strukturą był nie zcentralizowany formalnie ruch o charakterze ponad-politycznym, skupiający ludzi o różnych przekonaniach, wysuwający żądania teoretycznie zgodne z konstytucją PRL. Pod bezpośrednim wpływem Aktu Końcowego KBWE skonkretyzowaliśmy je jako żądanie przywrócenia i przestrzegania praw człowieka i obywatela. Obok tego posługiwaliśmy się projektem szerszym, ogłoszonym w sierpniu 1976 r. jako „Program 44”. W kolejności doprowadzaliśmy do politycznego samookreślenia się poszczególnych grup politycznych – a tym samym tworzenia niezbędnego dla przyszłej demokracji i pluralizmu politycznego. Następnie przedstawiliśmy program niepodległości – czyli uwolnienia się spod hegemonialnej władzy ZSRR oraz szczegóły doktryny działania politycznego. Kończącą fazą tego procesu wynurzania było powstanie partii niepodległościowej – czyli KPN. Wedle wcześniej przygotowanego planu miało to nastąpić 11 listopada 1978 r. Sprowokowany przez SB rozłam w Ruchu Obrony spowodował, że datę tę przesunęliśmy o rok, ale następnie – aby zgrać czasowo z przygotowywanym w Londynie Kongresem Polski Walczącej, ustaliliśmy na 1 września 1979 r. Względnie szybkie tempo wynurzania wynikało z presji czasu. Liczyliśmy się z tym, że władze PRL – z własnej inicjatywy i pod naciskiem Moskwy, dążyć będą do stopniowanego rozbicia KPN, co są w stanie dokonać w ciągu roku czy półtora. Wynikało z tego, że partia niepodległościowa musi powstać z takim wyprzedzeniem wobec spodziewanego wybuchu, aby zdążyć utrwalić się w społecznej świadomości i przetrwać, jako działająca w skali kraju struktura.

Słowem, liczyliśmy na eksplozję społeczną, jako na czynnik decydujący, lecz decyzję o rozpoczęciu operacji „Góra lodowa” podjęliśmy we wrześniu 1975 r., gdy ZSRR podpisał układ helsiński, ograniczający swobodę działania Moskwy w Europie.

Rozmawiałem niedawno z jakimś amerykańskim profesorem, który zbiera materiały do pracy o formowaniu się opozycji w krajach obozu sowieckiego. Gdy powiedziałem, że dla nas sygnałem był traktat w Helsinkach, aż podskoczył i wykrzyknął: *Pan jest pierwszym moim rozmówcą w Polsce, który to przyznał. Jak rozmawiam o punkcie zwrotnym z Niemcami, to mówią – Helsinki, jak z Czechami, to – Helsinki, z Węgrami również – tylko w Polsce, gdy pytam, jak wpłynęło na was porozumienie w Helsinkach to machają ręką: nie, nie, wszystko zaczęło się od „Solidarności”, albo od KOR, a Helsinki na nic nie miały wpływu.*

W tym okresie raczej powszechna była postawa niemożności, bezsilności. Mało kto wierzył w odzyskanie przez Polskę niepodległości w dającej się przewidzieć perspektywie.

Tak, przed 1981 r. niewielu uznawało taki program za realny. Nawet gorzej: ludzie często uważali niepodległość za zbędną – bo nie pasującą do ówczesnego dwubiegunowego świata, a nawet szkodliwą. W początkach 1981 r., gdy trwał festiwal „Solidarności”, a ja siedziałem na Mokotowie, wybitna i bardzo zasłużona działaczka opozycji powiedziała mojej żonie, że domaganie się niepodległości *śmierdzi faszyzmem*. Nawet jeden z czołowych *nieprawomyślnych* – Tadeusz Kisielewski, który przez cały czas istnienia PRL nie ukrywał swych opozycyjnych poglądów, w „Alfabecie „Kisiela” – wydanym w 1988 r. (!), tak wyjaśnił hasło *Moczulski Leszek – wariat, ale sympatyczny, wierzy, że Polska może odzyskać niepodległość*. Cóż więc mogli uważać inni, mniej inteligentni i przenikliwi? Trudno się temu dziwić. Potężny ZSRR trwał – i nie pojawiło się żadne mocarstwo, zdolne go obalić. Świadomość społeczna przyjmowała to za pewnik. Po 30-tu latach działania edukacji peerelowskiej i przejęcia jej przez nową inteligencję, skutki indoktrynacji politycznej były widoczne gołym okiem. To, że ludzie buntowali się przeciwko systemowi, który traktował ich jak narzędzia produkcji (definicja marksistowska!), mniej ważne niż maszyny, nie przeszkadzało, że dostrzegali rzeczywistość tak, jak ich nauczono w szkole i przez środki masowego przekazu. W różnych dziedzinach następowały zmiany na lepsze, demograficzne były

wielce obiecujące, lecz w zakresie świadomości społecznej wyraźnie na gorsze. W latach 70. katedry uniwersyteckie i posady nauczycielskie w szkołach w całości już znalazły się w rękach nowej inteligencji, wychowanej całkowicie w PRL. Poprzednia generacja nauczycielska łączyła osoby o pewnym autorytecie społecznym, o ukończonych studiach wyższych, często z tytułem doktora, ale także o wyrobionych przekonaniach politycznych, traktujące nauczanie, jako misję. Od lat 50. szkoły zaczęli przejmować ludzie przyuczeni do zawodu, głównie po upartyjnionych liceach pedagogicznych, którzy z w lwiej części przypadków wybierali ten kierunek, bo na kształcenie się w innych byli zbyt słabi, a zawód nauczyciela zapewniał im spokojną pracę aż do emerytury. Co może ważniejsze, to nowe środowisko poddawane było bardzo silnej indoktrynacji ideologicznej i wychowywane już w przekonaniu, że głoszona im wiedza jest jedynie słuszną – a wszystkie inne wrogie, fałszywe i, co liczyło się najbardziej, zakazane. Nikt nie chciał wpaść w kłopoty. Nic dziwnego, że jeszcze w latach 60. obiegowym żartem było pytanie, dlaczego w PRL nie ma ministerstwa propagandy. Prawidłowa odpowiedź brzmiała: jest zbędne, gdyż mamy ministerstwo oświaty. Nie było rzeczą przypadku, że środowisko nauczycielskie stało się z czasem może najważniejszym zapleczem doboru aparaczyków PZPR. Proces wymiany kadr na wyższych uczelniach był wolniejszy i nie tak kompletny jak w szkołach, lecz prowadził do podobnych skutków. Nominacje polityczne zaczęły się bardzo wcześniej i gdy w 1948 r. rozpoczęłam studia na Uniwersytecie Warszawskim, mieliśmy już dwu czy trzech takich profesorów. Jeden z nich początkowo chwalił się, że jest uczonym komunistycznym – i to nie było jakim, bo zrobił doktorat w instytucie marksizmu-leninizmu-stalinizmu w Wyższej Szkole Przemysłu Bawełnianego w Taszkencie, a tematem jego dysertacji była Stalinowska Konstytucja Kraju Rad. Na egzaminie zadał nam tylko jedno pytanie: jak brzmiał podtytuł książki Engelsa „O pochodzeniu rodziny, własności prywatnej i państwa”. Zdałem, bo jako jedyny z grupy znałem odpowiedź („W związku z badaniami Lewisa H. Morgana”), ale dostałem tylko trójkę, gdyż zamiast *ha* powiedziałem z angielska *eidz*. Zresztą później okazał się całkiem inteligentnym szefem katedry i wykształcił paru liczących się badaczy. W większości wypadków bardziej niż śmiać się, wypadało płakać. Bardzo szybko uruchomiono Wyższą Szkołę Partyjną, występującą pod zmieniającymi się dumnymi nazwami⁵ i posiadającą prawo nadawania stopni naukowych. To ułatwiło dość taśmowe nadawanie stopni szczególnym grupom osób. Byli więc w latach 50. *doktorzy z awansu społecznego*, którzy nie mieli matury, po 1968 r. *marcowi docenci* bez habilitacji, ale także *profesorowie z odzysku* (wystarczyło pisemne potwierdzenie jednego świadka, że dana osoba przed albo podczas wojny była profesorem sowieckiej uczelni – np. (to fakt autentyczny!) Szkoły Przetwórców Pracy im. Kujbyszewa w Kujbyszewie. Kategorii było więcej: *z litości* (dobry towarzysz, ale przytrafiło mu się siedzieć w łagrze, albo przeżyć oblężenie Leningradu – co trzeba jakoś wynagrodzić), *za zasługi* (np. w walce z reakcyjnym podziemiem), *z potrzeby służbowej*. Tą ostatnią kategorię najlepiej obrazuje dowcip. W celu ideowego wzmocnienia kadr, na placówką dyplomatyczną wyznaczony został towarzysz, który sprawdził się przy organizacji uspołecznionej sieci handlowej. Ponieważ wymagane były kwalifikacje, odbył parę miesięczny kurs przygotowawczy, obejmujący m. in. naukę angielskiego. Komisja egzaminacyjna domagała się tylko jednego: żeby powiedział jakieś zdanie po angielsku. Egzaminowany milczy. Komisja redukuje żądanie: niech powie cztery słowa. Egzaminowany milczy, milczy i nagle błysk w oku: Metro, Goldwin, Mayer – wykrzykuje radośnie. – Dobrze, dobrze – cieszy się komisja. – Jeszcze jedno słowo, drogi towarzyszu! – Chwila namysłu i egzaminowany zaryczał niczym lew: – Auuu! – Brawo, gratulujemy – radośnie oceniła komisja. Dlaczego nazywano to *z potrzeby służbowej*? Powodu były dwa. Po pierwsze: pełnienie ważnej funkcji dyplomatycznej, podobnie jak np. kontrolnej w ministerstwie szkolnictwa wyższego wymagało posiadania odpowiedniego dyplomu, a po drugie wydawanie takich dyplomów było obowiązkiem komisji (z nie wydania, czyli

5 Najpierw Instytut Czerwonej Profesury, następnie Instytut Kształcenia Kadr Naukowych, Instytut Nauk Społecznych. Wyższa Szkoła Nauk Społecznych i in. – ale wszystkie z dodatkiem *przy KC PZPR*.

złego nauczania trzeba było tłumaczyć się na piśmie).

Zostawmy już takie praktyki na boku, choć zjawisko nie było wcale marginalne. Kluczową kwestią była degradacja nauczania, a co za tym idzie nauki – przynajmniej szeroko pojętych dyscyplin humanistycznych. Obecność starszej kadry dydaktycznej i naukowej, a także studentów, którzy uzyskali maturę przed latami 50., była równoznaczna ze znajomością innych poglądów i innych ustaleń naukowych niż wbijane do głów – i dawała możliwość ich przeciwstawiania, choćby w duchu, głoszonym oficjalnie tezm. Dawało to dość szeroki margines intelektualny, pozwalało wybierać. Powolna początkowo zmiana, bardzo szybko dobiegająca finiszu w latach 70., polegała na tym, że z czasem zastępowali ich młodszy – czy to nauczyciele akademicki względnie szkolni, czy też studenci i uczniowie, od początku edukowani w *jedynie słusznej ideologii*. Ogromna ich większość po prostu nie znała alternatywnych tez czy wersji – i bez wewnętrznego sprzeciwu przyswajała sobie każdą bzdurę, którą następnie można było upowszechniać wszędzie, także z katedr uniwersyteckich. Stąd takie, do dziś szeroko rozpowszechnione poglądy, że Pierwsza Rzeczpospolita była tylko narzędziem niewolenia chłopów – co doprowadziło do jej upadku. Z kolei Druga Rzeczpospolita miała być państwem skrajnie faszystowskim, a co najmniej wyróżniała się autorytaryzmem w całej Europie. Z kolei inicjatorzy i wodzowie wielkich powstań narodowych, z warszawskim włącznie, mieli tylko jeden *romantyczny* cel – aby milionami ofiar uwiarygodnić mit o Polsce – Chrystusie narodów, który swoim cierpieniem odkupuje świat (to najbardziej szlachetna wersja). Odwołuje się tutaj do historii, lecz taka prymitywna indoktrynacja dotyczyła wszystkiego, co wedle rządzących mogło mieć znaczenie polityczne – i to w maksymalnie szerokim rozmiarze. Nie wszyscy w takie nonsensy wierzyli, ale bardziej łagodne wersje przyjmowali bez większego oporu. Nie brakowało również ludzi, którzy sięgali głębiej, szukali na własną rękę, wyzwalali się sporym wysiłkiem spod ogłupiającej – ale i głupiej presji. Obroniły się niektóre ośrodki naukowe, lecz przeważała podstawowa masa, która najpierw chciała skończyć szkoły czy studia wyższe, a potem troszczyła się jedynie o własną karierę zawodową oraz wysokość uzyskiwanych zarobków.

Jeśli dodamy do tego środki przekazu, prasę i radio, a później najbardziej szkodliwą telewizję, łatwiej zrozumieć, że edukacja społeczna przeciętnego Polaka stawała się coraz bardziej prymitywna, a znajomość świata ograniczona. Przed 1970 szczyty popularności osiągał zmuszający do myślenia, a co najmniej zadumy Kabaret Starszych Panów, po 1974 r. – rubaszny „Czterdziestolatek”, apoteoza bezmyślności. W latach 60. publicystyka w PRL osiągnęła poziom niespotykany w innych krajach obozu, gdyż dość krytyczne uwagi przedstawiała aluzyjnie – i zrozumiale dla wytrawnych czytelników. Po 1968 r. zaostrozono cenzurę, ale wkrótce okazało się to niezbyt konieczne, gdyż do masowej świadomości aluzje przestały trafiać. W latach 70. łatwiej było dostać paszport zagraniczny, ale lawinowo malało rozumienie zewnętrznego świata. Dlatego, wraz z wymianą pokoleń, każdą bzdurę łatwiej było wciskać do głów. Świadomość społeczna uległa istotnym przemianom. Dotyczyło to również tych młodych ludzi, którzy trafiali do opozycji. Hasła generalnej reformy PRL trafiały do wyobraźni, bo każdy widział, jak to państwo źle funkcjonuje i podle traktuje swych obywateli. Postulat odzyskania niepodległości dla większości był już niezrozumiały: jakże to, przywrócić przedwojenne kapitalistyczne państwo, w którym małorolni chłopcy żywili się sianem, aby nie umrzeć z głodu?

Te ujemne przeobrażenia świadomościowe coraz bardziej utrudniały rozumienie istotnych problemów polskich, a cóż dopiero międzynarodowych. Skoro Helsinki okrzykane zostały wielkim zwycięstwem ZSRR, jakże mogły być impulsem do tworzenia ruchów, domagających się respektowania praw człowieka?

Trafnie odczytując konsekwencje porozumienia w Helsinkach, potraktowaliście go jak sygnał do tworzenia jawnej i zorganizowanej opozycji.

Tak. Bezpośrednie tworzenie struktur opozycyjnych zajęło nam trochę czasu. Zgodnie z koncepcją *góry lodowej* powinny one jednoczyć różne grupy opozycyjne i rozwijać się na dwóch

poziomach: jawnym oraz tajnym – stanowiącym bazę kadrową i techniczną dla pierwszego. Pewne opóźnienie spowodował protest konstytucyjny: zabezpieczając się po Helsinkach, ZSRR narzucił krajom satelickim zapisy konstytucyjne, gwarantując kierowniczą rolę partii komunistycznych oraz wieczysty sojusz z ZSRR. Środowiska socjal-demo-liberalne organizowały protest tylko przeciwko tej pierwszej poprawce. Przyłączyły się do niego nasze środowiska, ale uzupełniły sprzeciw, występując stanowczo przeciw drugiej. Tak bardzo, że czołowy przywódca nn, jakim był gen. Abraham, wraz z innym członkiem nurtu – gen. Borutą-Spiechowiczem wysłali list protestacyjny do premiera Jaroszewicza – skądinąd też generała. Teoretycznie nie mieli oni prawa przedwcześnie ujawniać się politycznie – lecz uznano, że sprawa jest zbyt ważna. W końcu zimy 1975/76 doszło do programowo-organizacyjnego spotkania przedstawicieli bodajże pięciu grup konspiracyjnych; postanowiliśmy powołać wspólną organizację i uchwaliliśmy dokument programowy, zatytułowany „U progu”. Z mojej inicjatywy nowa struktura została nazwana Nurtem Niepodległościowym (z dużych liter). Ponieważ były oznaki, że SB trafiła na trop nn, powołanie NN – którego przyszła aktywność była nie do ukrycia, mieszało im całkowicie w głowach. Wiosną powołaliśmy czteroosobowe kierownictwo NN (Czuma, Dworak, Grzywaczewski, Moczulski) o kryptonimie „Romb”, w sierpniu kolportowaliśmy na akademickiej pielgrzymce na Jasną górę „Program 44” – traktowany jako podstawa działania jawnej struktury – czyli Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Powtórzono tę nazwę w podziemnym miesięczniku „U progu”, wydawanym od początku jesieni.

Ale środowiska demo-liberalne zaktywizowały się również – powstał KOR.

KOR był następstwem wydarzeń w Radomiu i Ursusie. Te środowiska były cały czas bardzo aktywne, tylko dość długo nie stworzyły formuły organizacyjnej, pozwalającej na prowadzenie jawnych działań politycznych. Jednostkowo byli o tyle jawni, że nie ukrywali specjalnie ani swoich poglądów, ani spotkań czy dyskusji. W porównaniu z żelazną konspiracją nn były to wolnościowe występy chóralne na patelni. Oglądał je każdy, kto tylko chciał. Dobrze oddaje to ironiczny tytuł Szpotańskiego: „Cisi i gęgacze”. Taka półjawność miała zresztą swoje ogromne zalety, gdyż w środowiskach inteligenckich upowszechniała zachowania dysydenckie. Po strajkach czerwcowych rozwijająca się bardzo pomoc dla represjonowanych robotników i ich rodzin wymagała stworzenia jakiejś struktury organizacyjnej, lecz nikt nie wiedział, jakiej. Wojtek Ziemiński, który brał udział w tych dyskusjach i był członkiem założycielem KOR, opowiadał mi, że Jerzy Andrzejewski wysunął nawet projekt utworzenia organizacji na wzór AK! Te majaczenia przeciął dopiero Jacek Kuroń, gdy wrócił z przymusowego pobytu w wojsku. Mimo, że sam był zwolennikiem formowania luźnych ruchów społecznych, tj. grup nieorganizowanych ludzi, łączących się tylko dla przeprowadzenia jakiejś jednej akcji, to doprowadził do powołania regularnego Komitetu, zdolnego do kierowania rozwiniętymi strukturami opozycyjnymi. Sam KOR był przede wszystkim organizacją humanitarną, udzielającą pomocy represjonowanym. Dopiero po roku przekształcił się w Komitet Samoobrony Społecznej „KOR”, ale dość długo zaprzeczał, że ma charakter polityczny. Od samego początku rozwinął dynamiczną, wielokierunkową działalność. Dysponował bardzo szerokim zapleczem w środowiskach nowej inteligencji, zwłaszcza na uczelniach. Miał też znaczne możliwości finansowe, w tym pomoc zagraniczną. Udzielał mu jej również Rząd londyński.

Tym mnie zaskoczyłeś. Dlaczego nie wam, przecież go uznawaliście, a środowiska socjal-demo-liberalne raczej go wyśmiewały.

To bardzo skomplikowana sprawa. Pamiętaj, że utworzony w 1939 r. rząd emigracyjny był bardzo ostro antysanacyjny. Dopiero po śmierci gen. Sikorskiego ten wewnątrz-polski konflikt został z grubsza zażegnany, ale utworzona w 1945 r. Liga Niepodległości Polski dość długo pozostawała w opozycji. Później to się zmieniało, lecz pilsudczycy, jako rzekomo winni klęskę wrześniową, nadal byli traktowali dość podejrzliwie. W latach 70. doszło do zmiany

pokoleniowej, kierownictwo rządu przejęli ludzie, którzy przez poprzednie kilka dziesiątków lat przewodzili ZHP na Obczyźnie i programowo dystansowali się od polityki. Gdy do nie weszli niejako z musu, bo z obywatelskiego obowiązku – nie bardzo orientowali się w tym pogmatwanym świadku. Ponieważ Stronnictwo Narodowe i PSL znalazły się poza ośrodkiem rządowym, prym przejęła PPS – bardzo antypiłsudczykowska. Gdy więc po ujawnieniu się opozycji w Polsce powołano w Londynie – pod egidą rządu, lecz od niego całkiem niezależny Komitet Pomocy dla Opozycji w Kraju, dominującą rolę odgrywała w nim PPS – przyjaźnie oceniająca program humanizacji real socjalizmu w Kraju. Nie bez znaczenia było, że wcześniej w środowisku powojennej emigracji politycznej zaaklimatyzowała się również emigracja pomarcowa – bardzo silnie powiązana z krajowym środowiskiem socjal-demo-liberalnym.

Wróćmy do głównego tematu. Mielicie cztery lata, aby z podziemia wyrwać się na powierzchnię, przejść przez kolejne formy organizacyjne, stopniowo ujawniać cały program polityczny, obronić się przed zmasowanymi atakami bezpieki i zapewne KGB, aby stworzyć coś, co w totalitarnym systemie komunistycznym było absolutnie nieprawdopodobne, wręcz niemożliwe do wyobrażenia: powołać jawną partię polityczną, która głośno oznajmi, że jej celem jest wyrwać Polskę z niewoli sowieckiej, obalić panujący w PRL ustrój i utworzyć niepodległą i demokratyczną Trzecią Rzeczpospolitą.

Rzeczywiście, czasu nie było zbyt wiele. Ale tempo wydarzeń w Polsce i na świecie w drugiej połowie lat 70. gwałtownie zaczęło przyspieszać, a my mieliśmy za sobą ponad 15 lat przygotowań. Opracowaliśmy, przedyskutowaliśmy, przeciwiczyliśmy wszystko, co było możliwe. I to na obie przewidziane fazy działania. Pierwsza obejmowała okres do wybuchu społecznego – dla nas specyficznej formy powstania narodowego, druga do odzyskanie niepodległości i zbudowania podstaw Trzeciej Rzeczypospolitej.

Skupmy się na tej pierwszej fazie.

Proszę bardzo. W części prognostycznej opracowaliśmy warunki krajowe i międzynarodowe, jakie muszą powstać, abyśmy mogli przejść na kolejny, wyższy stopień eskalacji politycznej i organizacyjnej. Najważniejsze dla nas było to, co dzieje się w Polsce, ale doszło wówczas do specyficznej sytuacji, w której to wydarzenia międzynarodowe decydowały o powstaniu korzystnych warunków dla rozpoczęcia jawnego działania. Przemiany demograficzne, prowadzące do powstania rekordowo wysokiej nadwyżki niewykorzystanej energii społecznej przebiegały automatycznie i ani nie mogliśmy, ani nie chcieliśmy na nie wpływać. Na politykę mocarstw również. Pozostało czekanie, aż ZSRR zwiąże się przez podjęcie pozaeuropejskiej ekspansji i wywoływanych przez nią konfliktów. Początkowo myśleliśmy tylko o Chinach, w podstawowej prognozie sporządzonej jeszcze w latach 60. sprawom dalekowschodnim przyznawaliśmy priorytet również ze względu na wzrastającą tam systematycznie aktywność USA. Dopiero pod koniec dekady dostrzegaliśmy kluczową rolę kierunku południowego; wskazywałem na to w mojej książce „Dylematy”, wydanej w 1971 r. Po kryzysie dyplomatycznym (równoległym do naftowego) nie była to już prognoza, lecz rzeczywistość, śledzona przez nas bardzo uważnie. Oczekiwana przez nas korzystna sytuacja nadeszła latem 1975 r.; potwierdzały to Helsinki. To był pierwszy stopień, pozwalający na podjęcie jawnej działalności. Drugi stopień osiągaliliśmy wraz z powołaniem jawnej, ponad-politycznej (czyli łączącej grupy różno-programowe) organizacji, trzeci z powstaniem partii niepodległościowej. Czwartym był wybuch społeczny; zakładaliśmy, że dojdzie do niego po wejściu w życie dorosłe wszystkich roczników wyżowych (1948–1961) – czyli w 1980 r., ale braliśmy pod uwagę, że do eksplozji może dojść rok wcześniej. Począwszy od Helsinek zmieniały się też priorytety w naszych prognozach: sprawy międzynarodowe spadały drugi, choć nadal bardzo ważny plan, a na czoło wychodziły trzy kluczowe zagadnienia: zmiany w nastrojach politycznych Polaków; aktywność polityczna środowisk opozycyjnych; zachowanie władz PRL wobec formującej się opozycji. Termin pierwszego i czwartego stopnia od nas nie zależał, co do drugiego i

trzeciego, podejmowaliśmy decyzje w zależności od istniejącej sytuacji. Był dość długi katalog czynników, które należało uwzględnić przy podejmowaniu decyzji; w praktyce znacznie go zredukowaliśmy. Każdy stopień obejmował kilka szczebli, wymagających całościowej oceny sytuacji, ale w tym przypadku decyzje były podejmowane w znacznym stopniu intuicyjnie.

Prognozowanie i planowanie działań rozłożonych na etapy wydaje się dzisiaj oczywiste. Czemu nie czynili tego inni?

W odniesieniu do całego okresu 1976–1989 odpowiedź jest dość oczywista. Ogromna większość grup opozycyjnych powstawała spontanicznie, pod wpływem wydarzeń. Poszczególni ludzie mogli mieć jakieś przemyślenia, ale struktury powstawały z marszu, bez większych przygotowań. Chyba tylko trzy środowiska zdolne były do myślenia perspektywicznego. Na pewno narodowi oraz chrześcijańscy demokraci. Dość długo ulegali oni jednak teorii neopozytywistycznym, stąd cele nie wybiegające poza istniejącą sytuację geopolityczną. Dla *twardych* endeków tezę Dmowskiego sprzed 1914 r., że mocarstwowość rosyjska jest czynnikiem trwałym i Polacy muszą ten fakt uznać, potwierdzała krótkotrwałość *sezonowej niepodległości* 1918–39. Pewne nadzieje – i chyba konkretne przygotowania, wiązali oni z odtworzeniem Stronnictwa Pracy przez połączenie istniejących organizacji katolickich; Kisiel ten postulowany twór złośliwie nazwał Chrześcijańską Unią Jedności. Bez wątpienia myślano perspektywicznie – i to na wysokim poziomie, w środowiskach socjal-demo-liberalnych, ale były to przede wszystkim rozważania ideologiczne. Samo życie wymagało działań politycznych – i takie podejmowano, ale nie doprowadziło to u nich do stworzenia doktryny politycznej, ani nawet precyzyjnego określenia celu. Dla nas niepodległość była aksjomatem, nigdy nie podjęliśmy dyskusji, do czego zmierzamy, bo to było oczywiste. Podobnie bezdyskusyjna tezą było, że najważniejszy jest własny polski wysiłek, a nie hołubienie nadziei, że inni – w tym przypadku mocarstwa zachodnie, wywalczą i подарują nam niepodległość, co nie przeszkadzało, że musieliśmy rozstrzygać inne kluczowe kwestie. Takim problemem, podjętym na samym początku, była kwestia walki zbrojnej. Piłsudski *ekspresis verbis* stwierdzał, że jest to główne, a nawet jedyne narzędzie odzyskania niepodległości. Czy piłsudczycy mogą to odrzucić? Czy rezygnacja z walki zbrojnej wynika ze zmian technologicznych, czy ze zwykłego oportunizmu? Trwało parę lat, nim zwyciężyła teza, że wystąpienia zbrojne przeżyły się, a kluczowym zadaniem stało się blokowanie fizycznej przemocy uzurpatorskiej władzy. Odpowiedni fragment, zawarty w mojej broszurze „Rewolucja bez rewolucji” był tylko powtórzeniem decyzji, przyjętej ostatecznie ok. 1965 r. bez mojego udziału. Inne dyskusje nie były tak dramatyczne, choć często ogniste.

Obradowaliście w dużych zespołach?

Nigdy. W każdym razie ja rzadko uczestniczyłem w spotkaniach więcej niż trój-osobowych. W takim składzie można było przedyskutować daną kwestię czy jej jakiś fragment, a wnioski, do których doszliśmy jeden z nas przedstawiał na wyższym szczeblu w równie małym gronie. Rzadko korzystaliśmy z notatek pisemnych, chyba tylko wówczas, gdy potrzebę napisania takiego tekstu można było wytłumaczyć innymi powodami, np. pisaniem artykułu. Zupełnie wyjątkowo postępowaliśmy z zespołem pracującym nad modernizacją Konstytucji Kwietniowej. Tutaj z reguły przygotowywaliśmy na piśmie własne propozycje zapisów oraz opinie o innych – tylko, że zawsze zaopatrywaliśmy je jakąś datą z lat 30. W razie wpadki, łatwo było wykazać, że to oryginały czy odpisy materiałów sporządzonych przed wojną.

Siłą nn był liczący się zespół profesjonalistów, którzy w większości kontynuowali prace rozpoczęte wcześniej. Punktem wyjścia naszych analiz demograficznych były studia nad możliwościami mobilizacyjnymi Polski i kilku innych państw europejskich, rozpoczęte jeszcze przed wojną. Wykorzystanie możliwości cybernetyki – która w drugiej połowie lat 50. była bardzo modna, doprowadziło nas dość szybko do rozpatrywania rzeczywistości ludnościowej jako systemu

energetycznego. Przy prognozowaniu gospodarczym ważną rolę odegrał Stefan Kurowski, a zwłaszcza jego książka o trendach rozwojowych produkcji żelaza i stali⁶. Wykazał on matematycznie, że proces industrializacji w ZSRR rozwijał się dokładnie wedle tego samego wzorca, co w Rosji carskiej przed wybuchem I wojny światowej. Ponieważ był on wolniejszy, niż w krajach o najwyższej technologii, łatwo było wyprowadzić wniosek, że w podobnym tempie narastać będzie dysproporcja pomiędzy USA i ZSRR. Nieco później udało się pozyskać pomoc prof. Jana Drewnowskiego, przebywającego już poza krajem. U niego miałem pisać pracę magisterską o problemach odbudowy Europy w oparciu o teorię Keynesa – ale nic z tego nie wyszło, gdyż wkrótce komuniści wprowadzili zakaz badań ekonomicznych innych, niż w ramach marksistowskiej ekonomii politycznej. Teraz profesor dostarczał nam zarówno ekspertyzy własne, jak wybitniejsze publikacje innych ekonomistów. Zresztą dopływ publikacji zachodnich mieliśmy duży, ja sam zgromadziłem niezłą kolekcję. Spora część przepadła później podczas rewizji (w tym komplet kwartalnika „Foreign Affairs” z 5 czy 6 lat), ale do dzisiaj pozostała mi większość rocznych almanachów informacyjno-statystycznych, odnotowujących wszystko, co istotne w danym roku miało miejsce. Korzystaliśmy również ze źródeł krajowych, ogólnie dostępnych jak biblioteka GUS, zawierająca aktualne publikacje statystyczne ONZ, sowieckie i zachodnie, czy też publikacji reglamentowanych, np. tłumaczeń ważniejszych dokumentów programowych i prac naukowych polityków i politologów zachodnich, głównie amerykańskich. Dysponowaliśmy również comiesięcznym (okresowo cotygodniowym) przeglądem głównych tytułów prasy światowej. Otóż w kilku Klubach Książki i Prasy, np. w Warszawie przy ul. Bagatela, można było je czytać z parodniowym opóźnieniem. Zaglądałem tam dość często; zawsze można było zobaczyć paru starszych, nobliwych panów, studiujących „NY Times” czy „Le Figaro”. Domyślałem się, że jeden – a może więcej, pracował dla nn. Biuletyny omawiały pozycje potrzebne dla sporządzania analiz; to z nich, a także z Dokumentacji Prasowej, sporządzanej przez RSW „Prasa” korzystałem szeroko przy pisaniu „Dylematów”.

Trudno opisać wszystko, posłużę się ważnym dla mnie przykładem. W początku lat 60. dotarły do nas różnymi kanałami – i to bodajże w dwu czy trzech egzemplarzach, kluczowe książki Kissingera o strategii nuklearnej i polityce zagranicznej. Za te prace autor zyskał miano *Clausewitza ery atomowej*. Zwłaszcza druga z nich – *The Necessity for Choice* oceniała bardzo krytycznie możliwości Amerykanów w warunkach powstałej luki rakietowej (*missile gap*). Chodziło o to, że poczynawszy od wystrzelenia sputnika w 1957 r. Sowieci górowali w budowie pojazdów kosmicznych – co oznaczało, że są zdolni do produkcji rakiet między-kontynentalnych. Ponadto dokonali kilku prób z bombami wodorowymi wielkiej mocy (do 50 MT). Wiadomo było wprawdzie, że sukcesy w budowie pojazdów kosmicznych Sowieci uzyskali dzięki pomocy przetrzymywanych hitlerowskich specjalistów, ale to nie zmieniało istoty rzeczy. Amerykanie zostali zepchnięci na drugą pozycję – i mieli wyrównać swoje możliwości z sowieckimi dopiero w 1966 r. – a i to pod warunkiem, że Sowieci nie dokonają nowego skoku technologicznego. Kwestie strategiczne, zwłaszcza dotyczące broni nuklearnych, były kluczowe dla naszych prognoz. W warunkach nuklearnej przewagi ZSRR nad Zachodem wszystkie nasze projekty niepodległościowe stawały się absolutnie nierealne. Dlatego z ogromnym napięciem śledziliśmy przebieg kryzysu kubańskiego w 1962 r. Sowieci instalowali tam w tajemnicy rakiety, zdolne do przenoszenia głowic atomowych, a gdy sprawa się wydała, Amerykanie zagrozili interwencją zbrojną i zajęciem całej wyspy. Była to najdalej posunięta próba sił obu supermocarstw w całej zimnej wojnie. Chruszczow ostatecznie ustąpił (za co zapłacił, tracąc dwa lata później przywództwo ZSRR). Było to przyznanie, że militarna luka rakietowa nie istnieje, a co najwyżej technologiczna. Ale ogólnie sprawa przedstawiała się niejasno. Pamiętam, że wówczas miałem długą, wielogodzinną rozmowę z płk Józefem Szostakiem. W latach 1936–1939 kierował on pracami nad obronnym planem wojny z ZSRR („Plan „W”) – o czym wówczas jeszcze nie wiedziałem, i był doskonałym znawcą nie tylko

6 S. Kurowski,

sił zbrojnych ZSRR, lecz generalnie możliwości militarnych Sowietów. Analizował je na bieżąco, wykorzystując m. in. oficjalne wydawnictwo Ministerstwa Obrony USA, przedstawiające aktualny stan Armii Czerwonej – które pozyskiwaliśmy dość regularnie (dwa takie opracowania z lat 80. zachowały się w moich zbiorach, wcześniejsze po wykorzystaniu musieliśmy niszczyć). Otóż Szostak m. in. wyjaśnił powody różnicy pomiędzy obiegowym a rzeczywistym obrazem sowieckich sił zbrojnych. Przypominał, że w początku lat 30. zaczęły docierać do polskiego Sztabu Głównego informacje o ogromnym skoku sowieckiej produkcji zbrojeniowej, m.in. o idących w tysiące dostawach czołgów i samolotów. Sprawa była kluczowa, jej rozpoznanie i analizy stały się przedmiotem stałych badań, przeprowadzanych w Oddziale III (Operacyjnym) SG. Wnioski dotyczyły głównie realiów, ale m.in. ustalono, że występuje trwała, sięgająca jeszcze carskich czasów, dysproporcja pomiędzy konstrukcjami (własnymi czy kopiowanymi) a gotowymi produktami, oraz pomiędzy ich poziomem technicznym, a poziomem obsługi. Inaczej mówiąc, konstrukcje i ich prototypy były na ogół dobre czy dostateczne, lecz produkcja masowa bez porównania gorsza, często złomowa, a należyte wyszkolenie personelu prawie niemożliwe ze względu na zerową świadomość techniczną poborowych. Sytuacja była wówczas nawet gorsza, niż przed rewolucją, bo kadry inteligencji technicznej zostały w znacznej mierze wybite podczas *Czerwonego Terroru* oraz kolejnych czystek. Obecnie (tj. w latach 60.), ten stan rzeczy nadal trwał, w małym stopniu złagodzony. Trudno w zacofanym społeczeństwie szkolić specjalistów najnowocześniejszej technologii. Zdaniem Szostaka, Sowietci wyprzedzili Amerykanów w tworzeniu konstrukcji rakiet, lecz ze względu na słabość technologiczną mają ogromne trudności z uruchomieniem produkcji seryjnej, a także wyszkoleniem zarówno pracowników produkcyjnych, jak personelu obsługującego rakiety. Amerykanie – nie wyłączając Kissingera, tego nie doceniali, a dzisiaj wiemy, że ocena polskiego eksperta była trafna. Wówczas zapoczątkowała ważny kierunek naszych prac analitycznych dotyczących rozwoju sytuacji strategicznej. Nie poszliśmy tropem wspomnianego Kissingera, który pracował nad najlepszymi dla USA rozwiązaniami strategiczno-politycznymi w warunkach wzajemnego zagrożenia nuklearnego (*all-out war*), tylko skupiliśmy się nad geopolityczną istotą zimnej wojny, w dodatku traktowanej, jako narzędzie prognostyczne. Tezy, do których doszliśmy, były proste. ZSRR jest potęgą militarną, ale pod wszystkimi innymi względami – cywilizacyjnym, ekonomicznym, kulturowym zalicza się do drugiej ligi. Może utrzymać pozycję supermocarstwa jedynie wówczas, jeśli czynnik militarny będzie górował nad innymi. Taka sytuacja występuje jednak tylko w dwu przypadkach: podczas wojny, lub gdy powstała realna groźba jej wybuchu. Otóż cała sowiecka strategia zimnej wojny polegała na tym, aby utrzymać konflikt Wschód-Zachód na maksymalnie wysokim poziomie – lecz nie przekraczać granicy, poza którą gorąca wojna jest nie do uniknięcia. Stąd falowanie napięcia: gdy zbliżało się do tej rzeczywistej *dead line* – linii śmierci, Moskwa cofała się; gdy odprężenie szło za daleko – a inne faktory, zwłaszcza ekonomiczne, wysuwały się na plan pierwszy, napięcie znów rosło. Moskwa niewątpliwie dążyła do militarnego rozstrzygnięcia o losach świata, lecz wymagało to uzyskania dostatecznej przewagi. Nie osiągnęła tego nigdy, gdyż wysiłek niezbędny dla utrzymania konfliktu na krawędzi wojny był tak wielki, że przekraczał możliwości potencjałowe Sowietów. Z kolei Moskwa nie mogła się zgodzić na głębsze i długotrwałe odprężenie, gdyż prowadziło ono do degradacji czynnika militarnego, a tym samym ZSRR przestawał być supermocarstwem. Było to w istocie działanie samobójcze, prowadzące do głębokiego załamania potencjałowego, lecz Sowietci przeceniali swe możliwości, a przede wszystkim liczyli, że zgodnie z teorią Marksa, kapitalistyczna gospodarka z każdym dniem zbliża się do wielkiego światowego kryzysu. Najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy – o czym już wspominałem, jako o jednej z głównych podstaw naszego rozumowania, że wydatki zbrojeniowe dla krajów rozwiniętych ekonomicznie stanowią gwarantowany popyt – czyli stabilizują gospodarkę.

Zrozumienie tej mechaniki zimnej wojny dla naszych prac prognostycznych miało duże znaczenie. Postępujący wzrost zagrożenia międzynarodowego prowadził do skupienia wysiłków sowieckich wymuszonym powiększaniu potencjału dyspozycyjnego, co siłą rzeczy, przy

ograniczeniach płynących z niedostatku całkowitego potencjału geopolitycznego musiała osłabiać potencjał ruchu – czyli m.in. kontrolę nad społeczeństwem. Następstwem czasowego apogeum napięcia były zawsze poważne perturbacje gospodarcze. Przed wiele lat obserwacja tych zmieniających się zjawisk i przewidywanie następnych było dla nas fascynującą przygodą intelektualną. To wspaniałe uczucie, gdy można obserwować, jak odczytane wcześniej zimno-wojenne mechanizmy procesów strategicznych, politycznych, ekonomicznych, ale także demograficznych czy kulturowo-społecznych sprawdzają się w rzeczywistości. Dopiero w latach 70. zmieniło się wszystko: wkroczyliśmy w okres, gdy na podstawie tychże obserwacji i prognoz trzeba było podejmować decyzje o kluczowym dla przyszłości Polski znaczeniu, rozpoczynać Wielką Grę.

Ubočnym, ujemnym skutkiem przygotowań intelektualnych, jakie prowadziły trzy najaktywniejsze środowiska polityczne, stało się wzajemne niezrozumienie. Przyczyniło się ono do wielu późniejszych kłopotów. W ustroju totalitarnym nie ma autentycznej opinii publicznej: myśleć trzeba samotnie i w ukryciu. Brak wymiany poglądów doprowadził do wzajemnej izolacji. Ze względów konspiracyjnych zaczęliśmy z sobą rozmawiać dopiero w okresie bezpośrednio poprzedzającym powstanie opozycji demokratycznej – i nie rozumieliśmy się całkowicie. Gdy ja opowiadałem o kryzysie potencjałowym, mechanizmach zimnej wojny, rosnącym zaangażowaniem ZSRR na południu – wzruszano ramionami; co to ma wspólnego ze zmianami w PRL? Od jednych słyszałem, że najważniejsza jest obrona tożsamości narodu przez przestrzeganie tradycyjnych wartości w rodzinie, drudzy opowiadali o ponadczasowej wartości humanistycznego socjalizmu, potrzebie swobód twórczych oraz wyzwolenia robotników. Nie trafiały do przekonania argumenty, że w warunkach ekonomicznego przymusu pracy rodziców trudno mówić o rodzinnym wychowaniu, ani skromne uwagi, że doktryna socjalistyczna, nawet w jej najszlachetniejszym kształcie, jest bezradna wobec komunistycznego superkoncernu. Ta ostatnia teoria (opisałem ją w wspomnianej książce „Moloch”, przygotowanej w 1985 r. w więzieniu) budziła oburzenie: tak daleko nie posunęli się w swej reakcyjności nawet najbardziej prawicowi socjaldemokraci zachodni. Radzono mi, przecieł szczerze, abym dla rozjaśnienia umysłu poczytał Kołakowskiego. Ceniłem go – i cenię, ale ratowanie marksowskiego socjalizmu nigdy nie było moją pasją życiową.

Teoretyczne studia i prognozy nie były jednak jedynym przedmiotem waszych przygotowań.

Oczywiście, że nie. Ale czynna polityka wymaga stworzenia koncepcji własnych działań oraz ich możliwych konsekwencji. Przygotowywaliśmy się do tego, korzystając z bardzo bogatego dorobku myśli politologicznej, geopolitycznej, strategicznej, ekonomicznej, socjologicznej czy historycznej. Działaliśmy jednak w zupełnie nowej, specyficznej sytuacji, gdy ta wiedza nie wystarczała. Stąd konieczność własnych poszukiwań. Konieczne było stworzenie modelu działania, w pełni adekwatnego do rzeczywistości. To samo robili i inni, lecz przyjmowali drogowskazy ideologiczne – socjalistyczne względnie nacjonalistyczne. Walka o niepodległość – jak kiedyś sprecyzował myśl Piłsudskiego Adam Skwarczyński – to czyn bez ideologii. Nie ważne, jakie reprezentujesz poglądy, wystarczy, abyś brał czynny udział w działaniach na rzecz odzyskania niepodległości. Ta różnica determinowała nie tylko cele, lecz również metody działania. Potrzebny był model praktyczny – który nie miał nic wspólnego ani z ideologicznymi poszukiwaniami, ani z naprawą grzechów realsocjalizmu.

Punktem wyjścia naszych poszukiwań była ocena realnych możliwości oraz prawdopodobnych zachowań przeciwnika: traktowanych łącznie totalitarnego państwa i sowieckiego obozu. Od 1939 r. byliśmy w konflikcie ze Związkiem Radzieckim, przez ostatnie dziesiątki lat niewołącym Polskę za pośrednictwem totalitarnej dyktatury komunistycznej. Konieczne było opracowanie strategiczno-operacyjnego planu rozegrania konfliktu. Stąd sztabowe traktowanie problematyki. Tym łatwiejsze, że nn skupiało w większości ludzi, którzy byli do tego przygotowani i mieli doświadczenie wojskowe. Naszym zadaniem było rozstrzygnięcie konfliktu o charakterze międzypaństwowym, przy czym nasze państwo jeszcze nie istniało a istotne ograniczenie wymagało wstrzymania się

przed stosowanej bezpośredniej przemocy zbrojnej.

Pierwszym zadaniem stało się zapewnienie możliwości realizacji koncepcji góry lodowej – czyli osłona eskalacji organizacyjnej i politycznej. Osiągnąć ją mogliśmy jedynie metodą faktów dokonanych (*fait d'accompli*). Przeciwnik dysponował jednak wszelkimi możliwościami, aby każde takie działania natychmiast zdławić. Szukając rozwiązań, wykorzystaliśmy ówczesną amerykańską doktrynę powstrzymywania (*containment*) sowieckiej agresji – czyli niedopuszczenia do wybuchu wojny. Jeśli Sowieci rozpoczną wojnę, USA przeprowadzi nuklearne uderzenie odwetowe (*massive retaliation*). Uzupełniono to następnie doktryną odstraszania (*deterrence*), zmierzającą do powstrzymania wybuchu konfliktu militarnego. Otóż Rosjanie musieli się liczyć z tym, że w odwecie na podjęte przez nich działania wojenne nastąpi natychmiastowa riposta, która całkowicie przekreśli sens ich zdobyczy. Zagrożenie sowieckie występowało na dwu poziomach: globalnym – czyli strategicznym uderzeniem nuklearno-rakietowym, oraz lokalnym – określanym jako taktyczny i sprowadzającym się głównie do szantażu militarnego wobec mniejszych państw. W pierwszym przypadku groziło wzajemne samobójstwo; wystarczało zachować równowagę technologiczną, aby nie dopuścić do wybuchu nuklearnej wojny powszechnej. W drugim przypadku sprawy się komplikowały. Pojawiła się natychmiast wątpliwość, czy riposta militarna nastąpi również w wątpliwej sytuacji, gdy np. Rosjanie ograniczą się do zajęcia jakiegoś mało ważnego z punktu widzenia USA obszaru, czy nieoficjalnie wesprą w jakimś państwie przewrót polityczny. Ktoś zadał konkretne pytanie: czy USA mogło rozpocząć wojnę nuklearną w odwet za zduszenie powstania węgierskiego? Odpowiedź była oczywista: nie, gdyż taka wojna powodowała wielokrotnie większe ofiary, niż najbardziej brutalne zdławienie powstania w Budapeszcie. Aby uniknąć takiej sytuacji, doktryna odstraszania została uzupełniona przez działania na szczeblu pośrednim. Gdy Sowieci w swojej ekspansji polityczno-militarnej posuną się za daleko – spotkają się nie ze strategicznym uderzeniem nuklearnym, tylko z karnym ciosem wykonanym przez siły zbrojne, dysponujące taktyczną bronią atomową, zdolną do niszczenia jednostek wojskowych, a nie miast czy ośrodków przemysłowych i komunikacyjnych przeciwnika.

Tu dodatkowe wyjaśnienie, niezbędne dla zrozumienia naszej ówczesnej sytuacji. Celem politycznym USA i krajów NATO było niedopuszczenie do wywołania wojny przez ZSRR. Nie chodziło ani o wygranie wojny, ani o totalne zniszczenie przeciwnika. Taki rezultat mógł okazać się nadmiernie kosztowny, gdyż wówczas na Amerykanach spocząłby obowiązek całkowitej organizacji i odbudowy zdevastowanego obszaru praktycznie na własny koszt. Po doświadczeniach ze zrujnowaną Europą, a zwłaszcza z pokonanymi Niemcami i Japonią, Stany Zjednoczone nie dążyły do bezwarunkowej kapitulacji przeciwnika, lecz do wymuszenia na nim rezygnacji z agresywnych planów i podjęcia pokojowej współpracy z resztą świata. Do tego potrzebna była globalna stabilizacja, a za jej część, obejmującą wschodnią Europę i północną Azję, odpowiadał ZSRR. Jakakolwiek irredenta, naruszająca panujący tam porządek polityczny, uznana została za sprzeczną z interesami Ameryki i całego Zachodu.

Wróćmy do naszej doktryny działania. Otóż, przetwarzając amerykański model rozegrania konfliktu, za cel bezpośredni uznaliśmy politykę, polegającą na odstraszaniu władz PRL przed podejmowaniem zbyt brutalnych kroków przeciwko opozycji. Brzmi to absurdalnie, nie dysponowaliśmy przecież żadnymi środkami odwetowymi. Przypomnę jednak, że już na początku przyjęliśmy żelazną zasadę: rozpoczynamy bezpośrednio i jawne działania na rzecz niepodległości wyłącznie w sprzyjającej, szczegółowo przez nas zdefiniowanej sytuacji międzynarodowej. Jednym z najważniejszych kryteriów było takie zaangażowanie zewnętrzne ZSRR, które wymagać będzie zachowania w miarę dobrych stosunków z Zachodem. Niewątpliwym prymatem polityki sowieckiej, której bezdyskusyjnie musiały przestrzegać państwa satelickie, była agresywna ekspansja zewnętrzna. Aby ją prowadzić, nie powodując otwartego konfliktu z USA i NATO, Sowieci i ich satelici musieli czasowo zachowywać pozory, m. in. wstrzymując się od represji. Naszym instrumentem zastraszania stawała się groźba, że prowokując represje, doprowadzamy do zaostrzenia stosunków Wschód-Zachód. Trwała przecież zimna wojna, a porzucenie polityki

detente w podobnych sytuacjach następowało niemalże automatycznie. Efektem stawały się poważne utrudnienia dla sowieckiej ekspansji regionalnej czy lokalnej; dodatkowe szkody powodowały związane z tym sankcje ekonomiczne. Tworzyło to czasową sytuację, w której Moskwa nie miała wyboru: ewentualne represje w PRL mogły zaszkodzić polityce sowieckiej, mającej przecież priorytet nad rozwiązywaniem kłopotów wewnętrznych satelitów. Mechanizm taki działał jednak tylko do pewnego stopnia. I to w dwu wymiarach. Po osiągnięciu celu, wyznaczonego dla tej fazy ekspansji, ZSRR z reguły zabierał się za porządkowanie spraw wewnętrznych – a wznawiane represje mogły być głębsze i ostrzejsze. Wymagało to z naszej strony optymalnego wykorzystania względnie krótkiego odcinka czasu: doprowadzenia zmian rzeczywistości politycznej na tyle daleko, że w swych podstawowych elementach prawie niemożliwych do szybkiego cofnięcia. Drugi wymiar był jeszcze groźniejszy. Otóż – inaczej niż w stosunkach międzynarodowych, eskalacja działań opozycyjnych powyżej pewnego poziomu politycznego powodowała, że Zachód, zamiast zwiększać swoją presję na ZSRR, natychmiast ją minimalizował. Wynikało to ze wspomnianych wyżej generalnych założeń polityki USA czy generalnie Zachodu. Zbyt daleko idąca aktywność opozycji mogła prowadzić do destabilizacji danego satelity, a taka utrata kontroli nad wydarzeniami groziła nieobliczalnymi konsekwencjami, nie wyłączając niechcianego wybuchu wojny globalnej. W Departamencie Stanu w początkach lat 70. opracowano nawet koncepcję sugerującą, że w interesie USA leży tzw. *organiczone wcielenie* państw satelickich do ZSRR. Napięcie społeczne w tych krajach rośnie i może doprowadzić do wybuchu; gdy będą one częścią ZSRR, dotyczyć to będzie spraw wewnętrznych Związku Radzieckiego, co zwolni USA od konieczności jakiegokolwiek interwencji i nie naruszy stabilizacji światowej. Dość łatwo było przewidzieć, gdzie przebiega granica, po której przekroczeniu przez zorganizowane siły opozycyjne, Waszyngton przyjmie postawę neutralną, a Moskwa zezwoli czy nakaze władzom PRL na przeprowadzenie masowych represji. Strategicznych, a nie taktycznych – czyli indywidualnych. Sowietom nie mogli zresztą postąpić inaczej, gdyż spoistość obozu była dla nich ważniejsza, niż sukces ekspansji regionalnej. Rozumieliśmy to doskonale, jednak, dążąc do odzyskania niepodległości, w pewnym momencie musieliśmy przekroczyć tę *dead line*. Szukając rozwiązania, przygotowaliśmy dwa warianty działania. Główny przewidywał spotęgowanie i przyspieszenie samego przebiegu eksplozji społecznej, aby stworzyć stan rzeczy doprowadzający do nowej stabilizacji politycznej i uniemożliwiający władzom PRL przeprowadzenie siłowego rozwiązania. W takich warunkach ewentualna zbrojna interwencja sowiecka nie była już uzasadnionym przywracaniem stabilizacji – lecz wręcz przeciwnie, destabilizowała ją i wymuszała reakcje Zachodu. Jak silną – zależało od konkretnej polityki, jaką w tym czasie prowadziły USA i główne państwa zachodniej Europy.

Przy takich uwarunkowaniach międzynarodowych, szukając optymalnej strategii działania, nie mieliśmy zbyt wielkiego wyboru. Bezpośrednim zagrożeniem dla naszych planów były represyjne działania władz PRL, a te mogły nastąpić na dwu poziomach: masowym lub indywidualnym. Cała organizacja bezpieczeństwa wewnętrznego i utrzymania stabilizacji politycznej PRL była nastawiona jedynie na takie działania. Na wyższym – strategicznym poziomie służby MSW i ewentualnie wojsko były w stanie dość szybko zdławić spontaniczne wystąpienia zbiorowe, ogólnokrajowe czy regionalne. Jednak, w geopolitycznej sytuacji lat 70. zduszenie takiego masowego działania oznaczało gwałtowne zaostrenie stosunków Wschód-Zachód, co – jak mówiłem, w istocie uniemożliwiało kontynuowanie ograniczonej ekspansji sowieckiej. Dlatego radykalne przeciwdziałania, podjęte przez władze miejscowe, czy też zbrojna interwencja sowiecka w tym konkretnym okresie były możliwe jedynie w wypadku zagrożenia całości obozu sowieckiego. Jeśli do tego nie dochodziło, lepiej było ścierpieć czasowe trudności, niż przerywać rozpoczęte już operacje ekspansyjne. Na poziomie indywidualnym – taktycznym, sytuacja była krańcowo inna. SB mogła w każdej chwili aresztować każdego, likwidować wszelkie próby organizowania grupowej aktywności. Jeśli jednak chodziło o osobę publicznie znaną, zwłaszcza jawnie podejmującą działania opozycyjne, sytuacja ulegała pewnej zmianie – gdyż działała

konieczność zachowania pozorów. Inaczej niż podczas wojny czy w powojennym dziesięcioleciu, kiedy obowiązywała zasada, że im większa konspiracja, tym większe bezpieczeństwo, w połowie lat 70. zaczęły tworzyć się czasowe warunki, w których wyjście z konspiracji zapewniało większe bezpieczeństwo. Ukierunkowanie bezpieczeństwa wewnętrznego tylko na dwa szczeble – strategiczny i taktyczny, pozostawiało dość szeroką lukę. Dawała ona przestrzeń, w której mogły tworzyć się organizacje ruchu oporu wyrastające ponad szczebel indywidualny – poszczególnych ludzi czy małych grup, ale znajdujące się poniżej szczebla strategicznego. Władzę PRL najwyraźniej uważały tę lukę za pozorną. Opierały się na własnych doświadczeniach oraz na istniejącej sytuacji. W pierwszych latach powojennych opór Polski łamano, prowadząc działania totalne; miały one charakter strategiczny, a taktyczny – indywidualne represje, był tylko jego częścią składowa. W latach 50. dla rozbicia podziemia politycznego wystarczały same represje indywidualne – i to głównie prewencyjne. W gorącym okresie 1956 r., pomiędzy poznańskim czerwcem a szczecińskim grudniem najpierw dokonano uderzenia strategicznego, a później wystarczały represje indywidualne. W popaździernikowym dwudziestoleciu spontaniczne wystąpienia studentów czy robotników rozbijano przez działania strategiczne⁷, a próby podejmowania grupowej konspiracji, skądinąd rzadkie, likwidowano przez represje indywidualne. Wytworzyło to przekonanie, że represje indywidualne wystarczą, aby nie wytworzyły się trwalsze struktury opozycyjne powyżej szczebla taktycznego.

Otóż tę lukę postanowiliśmy wykorzystać. Dostosowując doktrynę odstraszenia do polskich warunków i idąc bezpośrednio za amerykańskim wzorem, za najważniejsze uznaliśmy operowanie na szczeblu pośrednim. Działać strategicznie – czyli zainspirować masowy, spontaniczny i czynny sprzeciw – żadna grupa opozycyjna w PRL nie była w stanie. Tworzenie samotnej, jednostkowej grupy opozycyjnej narażało ją na likwidację, w zasadzie natychmiast po wykryciu. Pewną obroną mogło być jej głośne ujawnienie, ale przygotowanie tego wymagało czasu i zachowania tajemnicy. To ostatnie w warunkach funkcjonowania masowej sieci informatorów SB, było bardzo trudne i wymagało skrajnie rygorystycznej, powiedziałbym profesjonalnej konspiracji – takiej, jaka obowiązywała w nn. Natomiast tworzenie systemu licznych, chociażby drobnych i mało aktywnych grup opozycyjnych, powiązanych tylko programowo, względnie powołanie struktury silnie zróżnicowanej wewnętrznie, będącej w istocie tylko formalnym związkiem całkowicie samodzielnych organizacji, uniemożliwiała przeciwnikowi podjęcie skutecznego przeciwdziałania. Indywidualne uderzenie w pojedyncze osoby czy grupy w takiej sytuacji niewiele dawało, gdyż pozostawała zbiorowa struktura. Uderzenie w całą taką strukturę, funkcjonującą na szczeblu pośrednim, a nie indywidualnym, oznaczało natomiast przeniesienie konfliktu na poziom strategiczny, atak totalitarnych władz na aktywność masową, a nie indywidualną. Koszt polityczny takiej operacji był znaczny. Natomiast sprzeciw, organizowany na szczebli pośrednim, nie powodował złamania systemu. W sytuacji, gdy nie była zagrożona ani jedność, ani spójność obozu sowieckiego, represje – siłą rzeczy dość masowe, stawały się politycznie szkodliwe, gdyż bardzo utrudniało postępy ekspansji sowieckiej. Z kolei jawność zwiększała ogromnie prawdopodobieństwo pozytywnej dla nas reakcji Zachodu – zarówno opinii publicznej, jak rządów.

Cała działalność opozycji, świadomie czy nie, sprowadzała się do występowania z kolejnymi inicjatywami, czyli do nieprzerwanej eskalacji politycznej. Sukcesywnie tworzyliśmy nowe fakty dokonane. Mogły one przyjmować postać niejako ponad-materialną (wywiady, protesty, postulaty, żądania, programy, dyskusje itd.), względnie materialną (tworzenie nowych struktur, organizowanie wszelkiego rodzaju akcji – poczynając od zbiórki podpisów, a także manifestacji politycznych, tworzenie bazy redakcyjnej i poligraficznej itd.) Szybko okazało się, że w zależności od charakteru i celów politycznych, obie części uformowanej w latach 1976–77 opozycji demokratycznej przyjęły inne modele działania. Dla nas ilościowy i jakościowy rozwój struktur organizacyjnych miał

7 W przypadku marca 1968 r. Zachód wstrzymał się od interwencji, traktując je jako część powszechnego buntu młodzieży i studentów, w USA czy Francji przecież znacznie silniejszego niż w Polsce. W przypadku grudnia 1970 i czerwca 1976 r. nie zdążono interweniować, bo władze szybko się cofały (błyskawiczna zmiana rządzącej ekipy, natychmiastowe cofnięcie podwyżki cen).

znaczenie kluczowe, gdyż doprowadzał do powstania partii niepodległościowej. Inaczej było w środowisku KOR, gdzie sam Komitet potraktowany został jako struktura nie-rozwojowa oraz nie sformalizowana organizacyjnie. Niejako pod jego egidą, lecz także kontrolą polityczną, powstawały inne luźne inicjatywy, lecz chyba tylko w istocie całkiem autonomiczne Towarzystwo Kursów Naukowych musiało przybrać kształt zorganizowany, gdyż inaczej nie byłoby w stanie prowadzić działalności edukacyjnej. Jedyna inicjatywa o charakterze otwarcie politycznym, a mianowicie powołanie *ruchu demokratycznego* ugrzęzła już na etapie, czy nazwa ta powinna być pisana z dużych, czy z małych liter. Spór nie miał jednak charakteru ortograficznego, tylko polityczny – duże litery dowodziłyby, że jest to organizacja polityczna, a nie spontaniczne działanie niezorganizowanych osób.

Opisane różnice występowały jednak tylko w odmiennym politycznie podejściu do całościowego kształtu opozycji. Nie było ich natomiast w bazie technicznej. Może najważniejszym narzędziem opozycji były wydawnictwa drugiego obiegu, a poligrafia nie mogła się opierać na działaniach podejmowanych spontanicznie, podobnie jak łączność wewnętrzna, finanse itp.

W istniejącej sytuacji i przy tak zakrojonych działaniach opozycji, przeciwdziałanie SB było w zasadzie ograniczone do powstrzymywania względnie likwidacji przedsięwzięć tworzących nowe fakty dokonane istniejące materialnie. Założenie było proste: gdy tego rodzaju struktury zostaną rozbite najprostszymi represjami, polityczna działalność opozycji straci wszelkie podstawy i zacznie zanikać.

Niebezpieczeństwo było realne – i dobrze znane od dawna. W toku prac przygotowawczych poświęciliśmy mu dużo uwagi. Przyjęliśmy dość oczywistą zasadę. Każdy nowy fakt dokonany powinien oznaczać postęp polityczny i być szeroko nagłośniony, ale nie przekraczać granicy ostrożności. Reakcja władz będzie wynikać raczej z decyzji politycznych, a nie policyjnych. Jeśli koszt represji będzie wyższy, niż szkoda wywołana tym konkretnym działaniem opozycji, bezpośrednich i natychmiastowych reakcji nie będzie. Takie określenie ryzyka wymagało, aby każdy fakt dokonany był starannie przygotowany oraz poprzedzony drobniejszymi przedsięwzięciami, sugerującymi iż podjęte przez nasze środowiska inicjatywy nie będą aż tak groźne, jakby się mogły na pierwszy rzut oka wydawać. Granica ostrożności mogła być obniżona rozmaitymi wcześniejszymi manewrami, odwracającymi uwagę bezpieki. Największe zagrożenie występowało nie po przeprowadzeniu, lecz przed samym faktem dokonaniem. Taki wyprzedzający atak SB był tym bardziej prawdopodobny, że nie powodował większych szkód politycznych dla rządzących, gdyż likwidował inicjatywę nieujawnioną. Przykładowo, zbiórka podpisów uwiarygodniających mogła być łatwo przerwana przez SB przez zastraszenie poszczególnych osób, co dławilo całą inicjatywę. Aresztowania można było ukryć, albo zinterpretować po swojemu (czyny kryminalne, terroryzm). Inna sytuacja powstawała, gdy inicjatywa była już znana publicznie, a spóźnione uderzenie SB jedynie ją nagłasniało. Analizując teoretycznie różne ewentualności, dość szczegółowo opracowaliśmy dwa skrajne warianty. Pierwszy przewidywał, że sam *fait d'accompli* zostanie przeprowadzony błyskawicznie i przy zachowaniu pełnej tajemnicy – tak, aby władze nie zdążyły podjąć przeciwdziałania. Zastosowaliśmy go, z pewnymi koniecznymi modyfikacjami, przy ogłaszaniu Ruchu Obrony. Decyzja o przeprowadzeniu tej akcji zapadła w piątek między godziną 2 a 3 po południu – a więc już, gdy rozpoczynał się *weekend*, wszystkie czynności przygotowawcze o charakterze bezpośrednim wykonane zostały do wieczora, w sobotę o 9. 00 zawiadomiono dziennikarzy zagranicznych i redakcje niektórych dzienników cenzurowanych o miejscu i godzinie konferencji prasowej, na której zostanie ogłoszone powstanie Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce. Nim ta konferencja się rozpoczęła o godz. 17.00 w mieszkaniu osoby znanej nie tylko opinii publicznej w Polsce, lecz i na Zachodzie – a mianowicie Antoniego Pajdaka, jednego z głównych przywódców PPS, skazanego w procesie moskiewskim w 1945 r., radiostacje zachodnie już nadały sensacyjną wiadomość. Najszybsze działanie SB byłoby spóźnione, gdyż wkroczenie bezpieki i uniemożliwienie przeprowadzenia konferencji prasowej jedynie nagłośniłoby jeszcze bardziej całą sprawę.

Drugi wariant był wprost przeciwny. Po zakończeniu przygotowań, decyzja o czasie i miejscu ujawnienia inicjatywy powinna zapaść z wyprzedzeniem kilkutygodniowym. Okres ten miał być wykorzystany, aby przez stopniowe ujawnianie informacji i dezinformacji przyzwyczajać władze do tego, co miało nastąpić. Wykluczało to nagłą i spontaniczną reakcję na *sam fait d'accompli* – a taka była najgroźniejsza. Jeśli dawało się przeciwnikowi czas do namysłu, decyzje podejmowano kolektywnie i były one z reguły łagodniejsze. Takie oddziaływanie na władze składało się z kilku etapów: najpierw przez kontrolowane przecieki o samym zamiarze (tylko fakt, że została podjęta decyzja, oraz w jaki sposób będzie ogłoszona powinien być objęty ścisłą tajemnicą), następnie półjawne omawianie w różnych grupach szykowanego faktu dokonanego, wreszcie nieoficjalne potwierdzenie wraz z datą, kiedy ma nastąpić. W toku takiej gry należało wytworzyć wrażenie o słabości organizatorów, którzy nie są w stanie udźwignąć własnej inicjatywy. Sama ogłoszenie faktu dokonanego powinno być przeprowadzone przez zespół działający poza istniejącymi strukturami i nie mający z nimi kontaktu – najlepiej przez ludzi z nn, nie uczestniczących bezpośrednio w działaniach opozycyjnych. Ten wariant, z dość istotnymi modyfikacjami, wykorzystaliśmy przy powstaniu KPN. Zagrożenie było znaczne. Ogłoszenie samego celu: wyzwolenie spod sowieckiej hegemonii przez obalenie rządów PZPR mogło wywołać bardzo ostrą reakcję, odruchowe przeciwdziałanie – i to podjęte bez względu na jej uboczne skutki. Bez wchodzenia w szczegóły wspomnę tylko o głównym manewrze dezinformującym. Dość przypadkowo udało się nam pozyskać dużą łódź żaglową, co pozwoliło zorganizować obóz szkoleniowy nad Zalewem Zegrzyńskim. Miała to być wielodniowa narada, przygotowująca program KPN, który zostanie ogłoszony wraz z informacją o powstaniu tej partii. Przewidywana była obecność całej liczącej się kadry przyszłej Konfederacji, zaproszeni zostali również ludzie ze współpracujących z nami grup. Wbrew buńczuczным zapowiedziom, na obóz przybyło tylko kilku najbardziej znanych działaczy niepodległościowych, parę osób absolutnie nieważnych, a wśród nich rozpoznany TW. Całymi dniami żeglaliśmy po Zalewie, początek dyskusji nad programem KPN odkładając *na jutro*; ostatecznie skończyło się na paru drętwych pogaduszkach. Z zaproszonych gości przyjechali jedynie przedstawiciele jakiejś grupy studenckiej z Krakowa: mieli szczegółowe pytania, na które odpowiadaliśmy tak mętnie, że wyjechali z wrażeniem, że cała impreza jest niepoważna. Bezpieka i tak wykonała uderzenie wyprzedzające: poprzedniego dnia przed planowanym ogłoszeniem KPN zamknęła wszystkich warszawskich i przybywających do Warszawy działaczy centralnych, a pozostałych w Polsce zablokowano bezpośrednią tzw. obserwacją SB. Nie powstrzymało to ogłoszenia powstania KPN równolegle w dwu miejscach: w Warszawie na manifestacji 1-wrześniowej przed Grobem Nieznanego Żołnierza, oraz w Londynie na zebnanym tam Kongresie Polski Walczącej. Całą operacją ogłoszenia i związanej z tym łączności (trzeba było skoordynować poczynania warszawskie i londyńskie) przeprowadziła grupa około dziesięciu osób, z których każda wypełniała swoje zadania, nic nie wiedząc o innych. Każdy element wykonania był co najmniej dublowany przez nie mających z sobą kontaktu ludzi. Część tych osób nie miała jawnych kontaktów z opozycją, pozostali zostali wcześniej wyłączeni z bieżących działań; nikt z nich, rzecz jasna, nie uczestniczył w obozie żeglarskim. Drugiego uderzenia Bezpieka już nie wykonała. Nie miała w kogo: rozpoznani centralni działacze ze mną na czele albo już siedzieli w aresztach, albo byli pod ścisłą obserwacją. Wprawdzie można było nas dłużej przetrzymać, a także dokonać aresztowań konfederatów z niższych szczebli – lecz poza rozgłosem nic to nie dawało. A rozgłos – w Kraju i na Zachodzie, i tak był duży: ostatecznie, KPN był nie tylko pierwszą partią niezależną w całym obozie komunistycznym, lecz jeszcze jawnie głosił zamiar wyzwolenia Polski spod sowieckiej hegemonii i obalenia totalitarnej władzy. Bardziej maksymalistycznego programu nie można było stworzyć.

Odwołałem się do wydarzeń kluczowych. Ale wszystkie one mieściły się w tej samej koncepcji ogólnej. Część działań podejmowaliśmy pod wpływem wydarzeń, często nagle, bez jakichkolwiek przygotowań. Inne mieliśmy dokładnie opracowane, lecz okazywało się, że trzeba gwałtownie przyspieszyć realizację, a nawet improwizować poszczególne posunięcia. Tak było np. z

powołaniem Wolnych Związków Zawodowych. Większość jednak rozgrywaliśmy zgodnie z planem, metodycznie i bez zbędnego pośpiechu – a wszystkie wynikały z przyjętej grubo wcześniej jednolitej metody działania i przygotowanych szczegółowych rozwiązań.

Ważnym zakresem przygotowań było tworzenie modeli planowanych struktur opozycyjnych i ćwiczebne przegranie możliwości ich działania. Przyjęliśmy dwa główne kryteria: formalne przystosowanie do warunków prawnych PRL oraz zapewnienie maksymalnej skuteczności kierowania i prowadzenia akcji. Przykładowo, koncepcja organizacji politycznej – przyszłego Ruchu Obrony (RO), przewidywała, że nie będzie on miał formalnej struktury, członkostwa ani kierownictwa. Uczestnikiem RO mógł być każdy, kto chciał w niej uczestniczyć i tak długo, jak chciał. Mogła jednak tworzyć własne biura terenowe (Punkty Konsultacyjno-Informacyjne), a na zewnątrz reprezentowali ją rzecznicy. Był to dokładnie odwzorowany model Ruchu Obrońców Pokoju –

skupiającego rzekomo miliony Polaków, mającej własne biura – lecz nie podlegającej rejestracji. Z kolei model formacji politycznej, która miała kierować walką o niepodległość, przybrał postać partii politycznej – gdyż prawo PRL nie przewidywało ich rejestracji, ani nie dopuszczało jakichkolwiek prawnych środków nadzoru. Po prostu wszystkie takie przepisy usunięto, bo PZPR nie godził się, aby jego działalność w jakikolwiek sposób mogła być nadzorowana przez sądy i administrację. Jawne konferencje prasowe nie były zabronione przez prawo; w pisanu skarg i wniosków obywatelskich oraz ich doręczaniu każdy mógł pomagać, powielane biuletyny wewnętrzne, gazetki szkolne i ścienne nie były cenzurowane – a skoro naszych wydawnictw nie kolportowaliśmy przez „Ruch”, były one tym samym wewnętrzne. Tworzenia tajnych związków prawo zabraniało, ale skoro miały one jawne władze, czy choćby rzeczników, trudno je było uznać za tajne. Takich pomysłów przygotowaliśmy dobrze ponad setkę; nie wiem, czy w praktyce wykorzystaliśmy więcej niż połowę. W każdym razie, gdy później ludzie mówili: dobrze, podejmiemy działania – ale jakie, zdolny byłem sypnąć pomysłami. Pozwalały one pchać sprawę do przodu, rozwijać jawną działalność opozycyjną, a władze były bezradne albo łamały ustanowione przed siebie prawo. Wszystko to układało się w jednolity system działania, a drobne przedsięwzięcia prawie niedostrzegalnie zmieniały polityczną rzeczywistość.

Skuteczność naszej doktryny, łączącej w sobie zarówno powstrzymywanie jak odstraszenie, została potwierdzona już w początkowym okresie funkcjonowania demokratycznej opozycji. Był to wprawdzie czas wyjątkowo sprzyjający. Trwały zaawansowane przygotowania do rozpoczęcia sowieckiej ekspansji na południe i związane z tym wysiłki neutralizacji Europy zachodniej, do czego wstępem mogło być wejście komunistów do rządu włoskiego. Działywały nie tylko Helsinki, lecz również przywracanie pozorowanej liberalizacji w PRL po represjach czerwcowych. Sprzyjające warunki międzynarodowe, kluczowy punkt naszej doktryny politycznej, zostały znacznie wzmocnione przez wyraźne złagodzenie represyjnego systemu PRL. Wszystko to otwierało drogę do tworzenia jawnie działającej opozycji. Lecz przecież naszym podstawowym założeniem było, że możemy rozpocząć realizację przygotowywanych od dawna planów tylko w takich sprzyjających warunkach. To nie korzystna sytuacja stała się zapłonem działania, tylko świadoma decyzja polityczna jej wykorzystania, podjęta w zbliżonym czasie przez dwa środowiska polityczne: niepodległościowe oraz socjal-demo-liberalne. Nie wiem, kiedy oni zdecydowali się przejść do jawnej działalności; przypuszczam, że nastąpiło to przed rozpoczęciem pisanego przez Adama Michnika jego programowej książki. My, jak wspominałem, decyzję podjęliśmy w połowie września 1975 r.

Korzystna sytuacja została w pełni wykorzystana. Powstał Komitet Obrony Robotników, otwierając nowy, końcowy już okres historii PRL. Pół roku później doszło do ogłoszenia Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce – jak brzmiała jego pełna nazwa. Był to kolejny punkt zwrotny, powstawała nowa jakość, tym razem już wyraźnie polityczna. Proklamowany charakter KOR ograniczał się do prowadzenia działalności humanitarnej – pomocy represjonowanym robotnikom. W rzeczywistości Komitet prowadził działania znacznie szersze,

lecz oficjalnie taki charakter przyjął dopiero po roku, przekształcając się w Komitet Samoobrony Społecznej KSS KOR. Ruch Obrony (RO)⁸ powstał jako formacja ponad-polityczna – to znaczy, jak natychmiast wyjaśniliśmy, skupiająca grupy o różnych przekonaniach politycznych. Kilka miesięcy później skryształizowaliśmy naszą orientację polityczną, przyjmując na I Ogólnokrajowym Spotkaniu Uczestników RO rezolucję odrzucającą decyzje jałtańskie; w grudniu 1977 r. przedstawiliśmy na konferencji prasowej przedstawicieli czterech opcji politycznych istniejących w Ruchu Obrony. Było to możliwe z racji sprzyjającej sytuacji – która ciągle trwała, ale głównie dlatego, że struktura wewnętrzna RO była tak pomyślana, aby mogła przetrwać wszystkie indywidualne (taktyczne) uderzenia SB. Organizacyjnie niesformalizowana, choć centralnie kierowana, łączyła osoby, które spontanicznie uczestniczyły w poszczególnych przedsięwzięciach RO oraz przedstawicieli różnych środowisk politycznych i grup terytorialnych. Te ostatnie zachowywały nie tylko całkowitą samodzielność, lecz również względnie były odizolowane od Ruchu Obrony. Do tego dochodził elastyczny i ciągle przesuwający się podział na poziom *wynurzony* i *podwodny* (konspiracyjny), a w ramach tego ostatniego działały obok organizacji NN również utajnione komórki funkcjonalne, zwłaszcza techniczne, oraz grupy zadaniowe. W dodatku całość tej góry lodowej, ustawicznie powiększającej się, w zależności od zmiany sytuacji mogła wynurzać się lub kryć pod wodą.

Sądząc po tej terminologii, powstała ona pod wpływem twojego zamięłowania do żeglarstwa morskiego.

Nie da się ukryć, że tak – choć zamięłowanym żeglarzem był również Janek Dworak, który odegrał bardzo ważną rolę przy tworzeniu jawnej opozycji i formowaniu zarówno NN jak Ruchu Obrony. Nawiasem mówiąc, przez pewien czas, jeszcze w okresie konspiracyjnym, zasłoną dla naszej współpracy było wspólne uczestnictwo w zarządzie sekcji żeglarskiej klubu „Horyzont”. Posługiwaliśmy się językiem, nie całkiem zrozumiałym dla innych. Wracając do tematu, wobec tak pomyślanej organizacji, władze mogły represjonować uczestniczące w RO poszczególne osoby, blokować działania, konfiskować powielacze i maszyny do pisania – lecz nie były w stanie zlikwidować Ruchu Obrony jako osobnego bytu politycznego. Po największych ciosach zawsze coś zostawało, bo nawet przy maksymalnie ograniczonej aktywności, Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela ciągle istniał. Aby go wyplenić, rządcy PRL musieliby zastosować masowy terror wobec całego społeczeństwa. Byłoby to przeniesienie konfliktu z poziomu represji z indywidualnych na masowe – ze szczebla taktycznego na strategiczny, do czego Moskwa – nie dostrzegająca jeszcze zagrożenia spoistości obozu i przyzwyczajona do istnienia własnych dysydentów, w tym konkretnym okresie nie mogła dopuścić.

Podobnie było w przypadku KOR. Protesty po zamordowaniu Pyjasa doprowadziły do aresztowania kilkunastu członków Komitetu, lecz władze nie podjęły nawet próby jego likwidacji. Nieco później, na jakiejś wielkiej naradzie PZPR, jeden z szefów MSW wyśmiewał opozycję, że powołuje coraz to nowe grupy, złożone często z tych samych ludzi: taki Moczulski – wywodził – jest inicjatorem albo przywódcą co najmniej piętnastu. To ja mogłem się śmiać. Potężna bezpieka technicznie mogła wszystko, lecz rygory polityczne pozwalały jej stosować tylko represje indywidualne. Powodowało to pewne szkody również na szczeblu pośrednim, lecz nie przerywało formowania szerokiej struktury opozycyjnej w skali całego kraju – nowego i trwałego zjawiska politycznego w PRL. Rzekomo śmieszne grupki, które często nie były w stanie podjąć jakiegokolwiek konkretnej działalności, łącznie tworzyły zwarty system, wypełniający lukę pomiędzy szczeblem strategicznym a taktycznym, a tym samym zmieniały całkowicie krajobraz polityczny Polski. Były tym ważniejsze, że – uznane za nieszkodliwe, mogły bez większych przeszkód się rozwijać. Inne – silnie represjonowane, dzięki temu stawały się swoistymi drogowskazami. Tak

⁸ Używaliśmy takiej krótkiej nazwy, aby kojarzyła się z określeniem *ruch oporu* i pochodzącego od niej skrótu literowego. Tak jest we wszystkich dokumentach RO oraz w „Opinii” aż do rozłamu latem 1978 r. Skrót ROPCiO prawdopodobnie wymyśliła bezpieka.

było z pierwszą grupą Wolnych Związków Zawodowych – projektu, który wcześniej bardzo starannie opracowaliśmy. Komitet Założycielski WZZ, prowadzony przez Kazimierza Świtania w Katowicach i skupiający tylko kilka osób, przyduszony nieprzerwanymi, bardzo brutalnymi represjami, początkowo nie był nawet w stanie dotrzeć do zakładów pracy. Ale każdy cios, który otrzymywał, każda rewizja czy zatrzymanie przez SB odbijały się inspirującym echem w kraju. Rychło powstał drugi Komitet WZZ w Szczecinie, założony głównie przez studentów z RO, w kolejności w Gdańsku – i temu przypadło wypełnienie wielkiej roli historycznej w sierpniu 1980 r. Uderzenie SB kierowano indywidualnie, co mogło spowodować rozpad czy zanik niektórych grup – lecz na szczęblu pośrednim opozycja rozwijała się nieprzerwanie – i gdy doszło do eksplozji społecznej, gotowe były struktury zdolne nadać jej zorganizowany charakter.

Nie wszystkie struktury do tego czasu przetrwały, w 1980 r. Ruch Obrony praktycznie już nie istniał.

To zrozumiałe, była to przecież organizacja przejściowa. Przeszliśmy na wyższy etap. Naszym pierwszym celem było przecież utworzenie jawnej partii niepodległościowej, a to wymagało tworzenia kolejnych, bardziej zaawansowanych organizacji. Była to droga od szczębla do szczębla, ciągła eskalacja polityczna i organizacyjna. Nazywaliśmy to metodą *małych kroków, wielkich skoków*. Wielkich skoków miało być trzy: powstanie organizacji ponad-politycznej i kierowanej centralnie, ale niesformalizowanej; wyłonienie z niej kilku osobnych, sformalizowanych ugrupowań politycznych, z których każdy reprezentował będzie samodzielną opcję programową (wielkość utrudniała uderzenie SB, zlikwidowanie jednego czy dwu nie zmieniało efektu politycznego); połączenie ich – wszystkich, czy niektórych, w jedną federacyjną partię, za cel główny uznającą odzyskanie niepodległości przez Polskę. W rzeczywistości przeprowadziliśmy tylko dwa takie wielkie skoki, planowane drugi i trzeci połączyliśmy pod presją czasu. Małe kroki, dość liczne, doprowadzały nas do tych wielkich skoków. Każdy z nich rozpoczynał inny etap działania. Otóż Ruch Obrony był zakończeniem fazy przygotowawczej do utworzenia jawnej struktury opozycyjnej oraz punktem startu do stworzenia wyższej formy: opozycyjnego systemu partii politycznych. Tym samym eskalacyjne możliwości RO wyczerpywały się, nadchodził czas innych struktur, a przede wszystkim sprecyzowanych dokładnie programów politycznych. Zadanie przygotowania powstania partii niepodległościowej otrzymałem jeszcze w 1960 r., ale termin realizacji tego wielkiego skoku nie zależał od nas, tylko od zbliżającej się wielkimi krokami eksplozji społecznej. Częściowo z naszego nacisku na samookreślanie się poszczególnych środowisk politycznych, częściowo w wyniku rozwoju sytuacji w kraju (zwłaszcza szok spowodowany wyborem *polskiego papieża* – Jana Pawła II) przejściowa formuła Ruchu Obrony dobiegała kresu: wiosną i latem 1979 r. zaczęły wyrastać z RO faktyczne stronnictwa polityczne: Ruch Wolnych Demokratów, Ruch Młodej Polski oraz cztery niepodległościowe grupy polityczne, a zaraz potem ogłosiliśmy istnienie KPN. Miałem nadzieję, że z drugiej części RO, prowadzonej przez Andrzeja Czumę i Wojtkę Ziemińskiego wyrośnie niepodległościowa chrześcijańska demokracja, jednak ani wówczas, ani podczas festiwalu „Solidarności” do tego nie doszło.

Obok przejściowego charakteru Ruchu Obrony, bardzo duży ujemny wpływ na osłabienie jego aktywności wywarła skuteczna operacja Służby Bezpieczeństwa przeprowadzona w pierwszej połowie 1978 r. Zastosowano starą metodę policji politycznej, szeroko wykorzystywaną przez carską Ochronę, a przejętą przez sowiecki aparat terroru. Polegała ona na wprowadzeniu agentury do organizacji rewolucyjnej czy opozycyjnej z zadaniem sprowokowania konfliktu wewnętrznego, a następnie rozbicia jej od środka. W przypadku Ruchu Obrony, agenci⁹ – podsycając emocje czy ambicje niektórych osób, inspirując rzekomo potwierdzone podejrzenia, najpierw zablokowali aktywność RO, a następnie na Ogólnokrajowym Spotkaniu w Zalesiu Górnym w czerwcu 1978 r.

9 Dwaj szczególnie byli groźni: „Lewandowski” – Paweł Mikłasz i „Warszawski”. – Marian Bogacz. Aferę bardziej szczegółowo relacjonuje w książce L. Moczulski, *Lustracja. Rzecz o teraźniejszości i przeszłości*, Warszawa 2001.

doprowadzili do rozłamu. Operacja udała się tylko połowicznie, gdyż struktura była dostatecznie obronna, lecz spowodowała poważne straty. Przede wszystkim Ruch Obrony nie wykorzystał olbrzymiego potencjału swych możliwości, który przyniosły mu liczne sukcesy w poprzednim roku. Tym razem, nim zdążył odbudować swoje siły, został zdystansowany przez procesy eskalacyjne: rozwój opozycji demokratycznej oraz szybkie zmiany sytuacji politycznej w kraju.

Inaczej kształtowała się aktywność opozycyjna środowisk socjal-demo-liberalnych. Ze względu na swoją liczebność i materialne możliwości, a także potężne poparcie radia Wolna Europa oraz daleki od maksymalizmu program działania, stanowiło ona główny nurt opozycji demokratycznej. Ponieważ chodziło o zmiany w ramach PLR, nie działała tu potrzeba eskalacji strukturalnej. KOR przetrwał bez większych strat uderzenie SB z wiosny-lata 1977 r., a po zwolnieniu z więzień represjonowanych robotników główną uwagę skupił na poszerzaniu zakresu wolności obywateli. Czyniono to również metodą faktów dokonanych, osiągając naprawdę wielkie efekty. Gnębieni przez cenzurę literaci wydawali własne czasopismo, publikujące niedopuszczone do druku teksty, ograniczani w swobodzie wypowiedzi profesorowie mogli głosić swe poglądy bez przeszkód na kursach samokształceniowych, ukazywały się nieocenzurowane książki, także tłumaczenia autorów zagranicznych, dość regularnie wychodziły czasopisma.

Ale tutaj pionierską rolę odegrała redagowana przez Ciebie „Opinia”.

Wcześniej zaczęły wychodzić dwa tytuły prasowe: z początkiem jesieni 1976 r. pojawiło się pismo NN – „U progu”, a niewiele później wydawany przez środowisko KOR „Biuletyn informacyjny”. Wydawcy nieświadomie – gdyż kultywowali inną tradycję, powtórzyli tytuł głównego pisma informacyjnego ZWZ-AK. Oba te wydawnictwa miały charakter anonimowy, a redakcje działały konspiracyjne. Odbijało się to na charakterze obu pism, rzeczywiście bardzo biuletynowym. „Opinia” była kolejnym naszym *fait d’accompli*. Chodziło o to, aby obok jawnie przecież redagowanych i publikowanych gazet i czasopism wydawanych pod kontrolą totalitarnych władz, wprowadzić równie jawne pisma niezależne, podające nazwiska redaktorów i autorów. Tworzyliśmy w ten sposób dwa obiegi: pierwszy był rygorystycznie kontrolowany przez władze, drugi całkowicie niezależny. Wydawałem „Opinię” tak, jakby w PRL nie było cenzury. Mówię w pierwszej osobie, bo zdecydowałem o jej wydawaniu sam, z nikim się nie konsultując. O tym zamiarze wiedział tylko Andrzej Szomański z nn; to on wymyślił tytuł. Robiłem pismo sam, tylko niektóre artykuły wstępne konsultowałem z ks. Ludwikiem Wiśniewskim; szybko felieton historyczny w każdym numerze zaczął pisać Wojtek Ziemiński, a nieco później Adam Wojciechowski. Ponieważ comiesięczne przygotowanie numeru, co robiłem na marginesie właściwej działalności, zaczęło przekraczać moje możliwości fizyczne, po kilku miesiącach redagowanie części numeru przejął Janek Dworak – również profesjonalny dziennikarz. Formalnie pismo wydawało kolegium w składzie Leszek Moczulski, Wojciech Ziemiński i Kazimierz Janusz; obu powiadomiłem o tym już po fakcie, czyli po oddaniu 1 numeru do *techniki*; byli nieco zaskoczeni, ale zaakceptowali chętnie. Ponieważ Kazik prowadził już w swoim mieszkaniu jawne biuro RO – Punkt Konsultacyjno-Informacyjny, pod takim samym adresem podałem w stopce siedzibę „Opinii”. Ziemiński przejął łączność z poligrafią, Janusz przyjmował osoby zgłaszające się z jakimiś sprawami do redakcji, większość z nich kierując zresztą do biura skarg i interwencji RO, w tym samym lokalu prowadzonym przez Bogumiła Studzińskiego. Wpływ obu na redagowanie pisma był zerowy. Każdy numer przygotowywałem w ciągu jednego – dwu dni nieprzerwanego ślęczenia przy maszynie, nie było czasu na jakiegokolwiek konsultację. „Opinia” była robiona profesjonalnie nie tylko tekstowo, lecz również w szacie graficznej. Stworzenie na maszynie do pisania podzielonych na szpalty kolumn czy różnego formatu tytułów okazało się bardzo pracochłonne, ale efekt był znaczny. Również charakterem tekstów wychodziliśmy znacznie poza konspiracyjno-biurokratyczne nawyki. Niewątpliwą bombą był wywiad, jaki prezydent Carter udzielił „Opinii” – był to zresztą pierwszy w historii wywiad, jaki prezydent USA udzielił polskiej gazecie. Pionierski charakter miał blok dwu artykułów – Wojciechowskiego i mojego,

opowiadający się za zjednoczeniem obu państw niemieckich. Wcześniej w polskiej publicystyce, nie wyłączając bardzo liberalnej w takich kwestiach "Kultury" paryskiej, nikt nie odważył się wysunąć takiego postulatu. Nic dziwnego, że „Opinia” okazała się sukcesem. I to nie tylko w kraju. Pierwsze dziesięć numerów przedrukowane zostały jako osobna książka w Londynie, i to przez wydawnictwo zbliżone do KOR, a nie do nas. Chodziło o ukazanie, jaki poziom osiągnęła już w Polsce opozycja.

Nic dziwnego, że wiele wysiłku włożono, aby wyrwać „Opinię” z Twoich rąk. Bezpieka potrafiła organizować różne prowokacje, ale kogo miała bardziej na celowniku, was czy KOR?

Powstaliśmy w jakimś stopniu pod osłoną KOR. Planowaliśmy wprowadzić powołanie Ruchu Obrony z początkiem jesieni 1976 r., ale KOR nas ubiegł. Byłem chyba pierwszą osobą spoza ścisłego grona sygnatariuszy Komitetu, który dowiedział się o tym – i to wcześniej, niż pismo powiadamiające dotarło do Sejmu PRL. Inauguracyjny dokument podpisano w mieszkaniu położonym bardzo blisko redakcji „Stolica”, gdzie tego popołudnia samotnie coś pisałem. Otóż, gdy prof. Edward Lipiński z kimś jeszcze udali się na Wiejską, bardzo podekscytowany Wojtek Ziemiński wpadł do mnie z wiadomością i kopią podpisanego „Apelu”. W naszych środowiskach dało się zauważyć pewne niezadowolenie, że straciliśmy pierwszeństwo, lecz ja osobiście byłem zadowolony. KOR skupiał prawie całą uwagę SB, co było dla nas bardzo korzystne. Nie zrezygnowaliśmy jednak z żadnych działań osłonowych, nawet je poszerzyliśmy, wykorzystując fakt, że ogłoszenie powstania RO musieliśmy opóźnić o pół roku. Władze zapewne nie wytrzymałyby tak szybkiego rozrostu opozycji. Mimo, że nasz wielki skok 25–26 marca 1977 r. był szokiem dla władz, główne zainteresowanie SB przez cały 1977 r. skupiało się na KOR. Sytuacja uległa zmianie w 1978 r., gdy my znaleźliśmy się na celowniku. Jak już wspominałem, prowokacja SB zakończyła się połowicznym, ale poważnym sukcesem. Podobną prowokację znacznie wcześniej zorganizowano przeciw KOR. Trudno mi wypowiadać się o szczegółach dotyczących innego politycznie i życiorysowo środowisku –

tym bardziej, że nie mogę odwoływać się do faktów, lecz na podstawie dobrej znajomości poszczególnych ludzi łatwo domniemywać, jakie mechanizmy zadziałały. Zresztą najprostsze: rozpalanie emocji przed agentów wpływu. Pretekstem była nieopatrzna i mało precyzyjna w wymowie wypowiedź prasowa Jacka Kuronia z końca stycznia 1977 r. o *finlandyzacji* Polski. Wywołała ona bardzo gorącą reakcję niektórych członków KOR. Sprawa ciągnęła się dość długo i miała dramatyczne momenty, przyczyniła się później do pogorszenia stosunków KOR-RO. Znaczna spoistość ideowa i personalna środowiska socjal-demo-liberalnego uniemożliwiła szerszy zasięg afery, choć doszło do prób jej wznowienia, tym razem przez podważanie wiarygodności jakichś rozliczeń finansowych. Żałować jednak należy, że poza doraźnymi działaniami organizacyjnymi, nie doszło wówczas do dyskusji merytorycznej nad sugestią Kuronia. Termin *finlandyzacja* oznacza, że dane państwo przestrzega zobowiązań podjętych wobec ZSRR, lecz zachowuje system demokratyczny. Nie wchodząc w dywagacje, co kto mógł pod tym ostatnim określeniem rozumieć, osiągnięcie takiego stanu rzeczy w PRL byłoby ogromnym krokiem naprzód i znacznie zbliżyłoby nas do niepodległości. Nie jest to ocena, do której doszedłem dziś, bo sformułowałem ją na piśmie jeszcze w końcu 1976 r. W ramach przygotowań do ogłoszenia Ruchu Obrony potrzebny był dezinformujący manewr, sugerujący, iż w naszym środowisku przeważają tendencje ugodowe. Ponadto, ponieważ dawało się zauważyć nagłe zaostrenie stanowiska władz, a uderzenie i rozbięcie KOR byłoby klęską całej opozycji i opóźniłoby znacznie realizację naszych planów. Warto było wystąpić z niesprecyzowaną bliżej sugestią, że represje są niepotrzebne, bo wszystko da się ułożyć pokojowo. Taki był z grubsza ton „Memoriału”, który napisałem podczas świąt Bożego Narodzenia i parę dni później przez zaufaną osobę – a mianowicie przez Zbigniewa Załuskiego, członka komitetu doradczego przy Gierku, przekazałem do KC PZPR; kopię tekstu tego samego dnia dałem

Kuroniowi¹⁰. Dość obszerne wywody były krytyczne wobec polityki władz, ale z pozycji zatroskanego obywatela. Podkreślając nieuchronność głębokich przemian, aby obniżyć ich olbrzymie koszty, sugerowałem porozumienie pomiędzy *biegunem reformy* – czyli dojrzewającą opozycją, a *biegunem zachowawczym* – władzami PRL. Był to w istocie taki sam pomysł, jak dwanaście lat później zaproponowany przez Kiszczaka Wałęsie, okrągły stół – tyle, że na początku kryzysu PRL, a nie pod jego koniec. Jako przynętę, zaofiarowałem likwidację KOR, gdy ze swej strony władze cofną wszystkie represje i wypuszczą aresztowanych robotników. Nie było to nic nowego, gdyż sam KOR zapowiadał, że po zwolnieniu uwięzionych jego cel zostanie osiągnięty i dokona samo-rozwiązania. Działał jednak pewien szczególny moment. 15 grudnia spotkałem się potajemnie z Kuroniem, Lipskim i Macierewiczem, aby wstępnie omówić możliwości współpracy naszych środowisk. Zachowane były wszystkie rygory konspiracji: lokal, położony w pobliżu ruchliwego zbiegu Żłotej i Żelaznej był czysty, zgodnie z naszymi rygorami używany po raz pierwszy i ostatni, mieścił się w wielkiej, starej kamienicy o kilku klatkach schodowych, gdzie bardzo łatwo można było zgubić ogon. Przez okno, zza firanki, można było obserwować drogę dojścia. Widziałem, że za zdążającą do mnie trójką ciągnie się ogon, co bardziej szczegółowo rozpoznała nasza –

tj. nn – obserwacja zewnętrzna. Przybysze już wewnątrz budynku wykonali kilka prostych manewrów, gubiąc tajniaków. Ponieważ bezpieczeństwa w ciągu następnych dwu miesięcy nie zainteresowała się lokalem spotkania, było oczywiste, że nie ustaliła konkretnego adresu mieszkania. Ja nikogo nie powiadomiłem o spotkaniu, poza absolutnie pewną komórką nn, zapewniającą obserwację zewnętrzną. Jednak, dwa dni później zostałem zatrzymany na ulicy i przewieziono do Pałacu Mostowskich, gdzie poddano mnie wielogodzinnej próbie przesłuchania. Prawdopodobnie moi rozmówcy omawiali przebieg spotkania, co przeciekło do SB. Otóż, kierując „Memoriał” do władz, założyłem, że adresaci natychmiast zażądamy od SB informacji o mojej aktywności w ostatnim czasie – i dowiedzą się o spotkaniu z czołowymi osobami z KOR. Sugerowało to, że propozycję o samo-rozwiązaniu KOR z nimi uzgodniłem. Przynęta była duża: likwidacja jawnego ośrodka opozycji bez potrzeby podejmowania drastycznej akcji policyjnej. Znacznie później, bo dopiero ze wspomnień Jaruzelskiego, dowiedziałem się, że w początkach stycznia 1977 r. mój „Memoriał” powielono i rozdano członkom Biura Politycznego pod dyskusję. Jej wyników nie znam, wymowne są jednak fakty. Ani grożące na przełomie roku, ani spodziewane po ogłoszeniu Ruchu Obrony represje nie nastąpiły.

„Memoriał” był elementem gry, w owym czasie doprowadzenie do jakichkolwiek negocjacji pomiędzy władzą a opozycją było mało realne. Można je było rozpatrywać raczej, jako ewentualność teoretyczną. Taki był zarówno pomysł Kuronia z *finlandyzacją*, jak moja propozycja porozumienia. Ale, prędzej czy później, do takiego porozumienia – czy też kolejnych porozumień, musiało dojść. *Porozumienie jest formą walki* – ten tytuł mojej późniejszej broszury programowej wyrażał jedną z podstawowych zasad naszej strategii. Osiągnięcie jakiegoś wielkiego celu w kategoriach ogólnonarodowych – tej rangi jak sierpniowy sukces strajkowy 1980 r., pochłaniało tak wiele energii społecznej, że potrzebny był okres wytchnienia. To samo zjawisko występowało po stronie naszych przeciwników. Otwierało to drogę do porozumienia, w istocie zwykłego zawieszenia broni (choć nie wszyscy to rozumieli). Opozycji dawało czas niezbędny do przeformowania struktur i ponownego zgromadzenia sił. Rządzący mogli liczyć, że podobnie jak w 1956 czy 1970 r. –

uspokoją, obezwładnią i potrafią wessać protestujące środowiska, choć raczej należało przewidywać, że zdecydują się na rozwiązanie siłowe – i również potrzebują czasu na przygotowania. Przerwa w otwartym konflikcie była jednak znacznie korzystniejsza dla *bieguna*

¹⁰ Ten egzemplarz posłużył później Mirkowi Chojeckiemu do publikacji „Memoriału ” jako bodajże pierwszej pozycji organizującej się dopiero NOW-ej.

*reformy, czy raczej rewolucji, niż dla totalitarnej władzy. W tym czasie siły *ancient régime* słabły; pamiętajmy, że nadmierny potencjał dyspozycyjny, niezbędny dla sowieckiej ekspansji, zżerał już substancję. Natomiast ruch sprzeciwu, choćby tylko motywowany najprostszy potrzebami ekonomicznymi –*

wzmocniał się, w sposób przyspieszony zyskując poparcie społeczne. Gdyby taką przerwę pomiędzy aktywnym konfliktem udało się dostatecznie przedłużyć, uruchamiał się mechanizm *ruchomego balastu*. Taki balast przesuwają na tę burtę, na którą statek się przechyla, przenosząc punkt ciężkości – i powoduje jego wywrotkę. W naszej sytuacji takim balastem byli bardzo liczni oportuniści, oraz osoby dotychczas nie zainteresowane politycznie. Przy przedłużającej się sytuacji patowej, gdy władze PRL nie mogły zdecydować się na podjęcie jakiegoś konkretnego działania, te środowiska stopniowo przesuwały się na stronę reformy/rewolucji. Mogły to czynić nawet bardzo powoli, bo i tak, po osiągnięciu punktu krytycznego, katastrofa następowała samoczynnie. Konieczna była tylko znajomość mechaniki takiego procesu, a także świadomość, że porozumienie ma charakter tymczasowy. Dlatego m.in. w „Rewolucji bez rewolucji” pisałem, że powszechny strajk okupacyjny musi się zakończyć porozumieniem, które zaakceptuje ruch powstały w toku wydarzeń – czyli Wolne Związki Zawodowe. Nie będzie to jednak finał, tylko start do kolejnej fazy walki o niepodległość.

Zarówno ja, jak i Kuroń zmierzaliśmy do osiągnięcia konkretnego skutku rzeczywistego, a odmienności w celach ostatecznych nie przeszkadzały, że obaj działaliśmy politycznie, wolni od jakiegokolwiek fundamentalizmu.

Skoro w tak kluczowej sprawie mieliście wspólne poglądy, czemu nie zdecydowaliście się na wspólne działania.

Sprawy nie były takie proste. Oba środowiska funkcjonowały w znacznej izolacji od siebie, w sposób wyraźny różniły się życiorysowo i politycznie. Odmienne też ocenialiśmy się nawzajem. Dla nas KOR nie był ani konkurentem, ani przeciwnikiem, tylko nieświadomym sojusznikiem. Ocenialiśmy wszystko w granicach długiej perspektywy, sięgającej odzyskania niepodległości i formowania demokratycznej Trzeciej Rzeczypospolitej. Wszyscy, którzy występowali przeciwko totalitarnemu systemowi, byli naszymi sojusznikami, a ich osiągnięcia naszymi. Im bardziej PRL była zdemokratyzowana, tym łatwiej było nam działać; każdy sukces KOR był korzystny społecznie, a więc korzystny dla działań na rzecz odzyskania niepodległości. Wprawdzie świadomy byłem, że takie uwarunkowania mogą się skończyć. System totalitarny, niewolący Polskę, oparty był na podwójnej dyktaturze: krajowej i sowieckiej. Gdyby nawet doszło do głębokiej demokratyzacji, dalszy postęp byłby zatrzymany albo przez dyktaturę krajową, albo przez Moskwę. Wspominałem już o odmiennym rozumieniu przez oba środowiska terminu *demokracja*. Dla nas była to decyzja obywateli, płynąca od dołu i decydująca o władzy oraz o jej działaniach. Dla nich bliżej niesprecyzowaną wartością, podobnie jak dla ogromnej większości społeczeństwa. Lepsze zaopatrzenie w sklepach uważano za zwiększenie demokracji. Szczytem byłoby, gdyby każdy mógł kupić, co chce. W takich warunkach *finlandyzacja* oznaczała coś więcej – była pozytywną zmianą polityczną – i mogła być doskonałym punktem startu do dalszej walki. Dopiero zatrzymanie się na tej pozycji oznaczało kres dalszego postępu. To znaczy akceptację komunistycznego totalitaryzmu. W takim ustroju liberalizacja jest zawsze czasowa, bo zatrzymanie demokratyzacji oznacza początek przywracania rygorów. W przeciwieństwie do Finlandii, wolnej od przymusu regulacji wedle nakazów Moskwy, PRL była państwem stanowiącym autonomiczną część obozu czy systemu sowieckiego, w którym suwerenem był Kreml. Jeśli nie dochodziło do katastrofy Sowietów – w co prawie powszechnie nie wierzono, ani władze ZSRR, ani PRL nie mogły zgodzić się na przekazanie decyzji obywatelom – czy raczej poddanym, gdyż byłby to koniec imperium real-socjalizmu. Zdawali sobie sprawę, że procesy liberalizacji w pewnym momencie dojdą do punktu krytycznego: podwójna dyktatura nie będzie mogła się już cofnąć, a środowisko socjal-demo-liberalne stanie przed koniecznością wyboru. Alternatywa była prosta: albo uzna dotychczasowy

postęp demokratyzacji za wystarczający i opowie się za istniejącą władzą (jak to było w Październiku 1956 r.) – albo, kontynuując działania wolnościowe, będzie dążyć do obalenia totalitarnej dyktatury. Byłoby to niemalże przejście na pozycje niepodległościowe, gdyż przywrócenie demokracji przedstawicielskiej oznaczało koniec systemu despotycznego rządzenia ze szczytów władzy. Jednak, przynajmniej w zapleczu lewicowego skrzydła *mainstreamu* opozycji, można było znaleźć ludzi, którzy obawiali się wybuchu społecznego z zupełnie innego powodu; eksplozja wysuwała na plan pierwszy społeczeństwo – a było one prymitywne politycznie, nienawykłe do rządzenia, w większej części związane z tradycyjnym Kościołem, być może żądne odwetu (zjawiska takie, choć w ograniczonym stopniu, rzeczywiście wystąpiły podczas *festiwalu* „Solidarności”). Przypuszczaliśmy, że w takiej sytuacji środowisko socjal-demo-liberalne podzieli się, a nam zależało, aby jak największa jego część kontynuowała walkę z totalitaryzmem. W ramach naszej strategii działań pośrednich – o czym za chwilę, dążyliśmy aby KOR zajął w tych sprawach jasne stanowisko, przy czym równocześnie wytwarzaliśmy sytuację, utrudniającą opowiedzenie się za pierwszym z alternatywnych.

Do starcia na tym tle doszło po raz pierwszy w 1979 r. Był to mój jedyny publiczny atak na Kuronia przed 1981 r. (do drugiego – i ostatniego doszło w 1988 r.). Otóż Jacek w numerze 1-szo majowym „Biuletynu Informacyjnego” zamieścił artykuł o niebezpieczeństwie ewentualnej eksplozji, której skutkiem będzie interwencja sowiecka i całkowite zniewolenie Polski na następne pół wieku. Zarysował dylemat, przed którym jego zdaniem stoi demokratyczna opozycja: powinna przeciwstawić się wybuchowi społecznemu – bo to katastrofa, ale nie może tego uczynić, gdyż wówczas współdziałałaby z niedemokratyczną władzą. Nie wiem, które rozwiązanie Kuroń uważał za słuszniejsze, lecz wymowa takiego postawienia sprawy mogła być prosta: znacznie większym niebezpieczeństwem jest przecież półwiekowe zniewolenie Polski, połączone zapewne z inkorporacją do ZSRR¹¹, niż czasowe współdziałanie z władzami PRL, aby nie dopuścić do takiej katastrofy.

Eksplozja społeczna była najważniejszym elementem naszego planu działania; bez niej odzyskanie niepodległości stawało się niemożliwe. W dodatku, aby nie zamieniła się w chaotyczne, nieskoordynowane, a często sprzeczne działania, wymagała aktywnego poparcia głównych struktur opozycji. Wystąpienie Kuronia wymagało zdecydowanej riposty. Ponieważ w ramach przygotowań do ujawnienia KPN konieczne było opublikowanie założeń naszego programu działania, połączyłem je z polemiką z Kuroniem. Taka była geneza „Rewolucji bez rewolucji”, którą napisałem pośpiesznie w maju 1979 r., aby można było rozpocząć kolportaż podczas pielgrzymki Jana Pawła II¹². W pierwszej części tekstu bardzo ostro – i świadomie przesadnie zaatakowałem Kuronia. Zasugerowałem tworzenie się szczególnego frontu przeciwników wybuchu społecznego, wymieniając kilka specjalnie dobranych nazwisk, poczynawszy od moczarskiego propagandzisty,

11 Takie rozwiązanie zaczęto publicznie postulować w połowie lat '70. W czerwcu 1976 r. sekretarz generalny KP Bułgarii Żiwkow w referacie na statutowym Zjeździe zapowiedział, że utworzenie jednego państwa socjalistycznego od Oceanu Spokojnego do Łaby staje się konieczne; przedrukowała to „Trybuna Ludu”. W ZSRR zaczęły się ukazywać publikacje, wprawdzie tylko w niskonakładowych wydawnictwach akademickich, że formuje się już jeden naród socjalistyczny, obejmujący cały obóz sowiecki. W naszych ocenach, oficjalna zapowiedź takiej integracji politycznej mogła nastąpić dopiero po pomyślnym zakończeniu rozwijającej się ekspansji na południe. Dotarcie do ropodajnych terenów Bliskiego Wschodu i położenie łapy na niektórych z nich dawało ZSRR ogromny wzrost potęgi i całkowitą swobodę w sprawach wewnętrznych obozu. Amerykanie przewidywali takie *zjednoczenie* i – jak wspominałem wyżej, przynajmniej niektórzy uważali go za korzystny.

12 Formy kolportażu „Rewolucji bez rewolucji” podczas ogromnych zgromadzeń ludzi witających Ojca Świętego mogły budzić fałszywe podejrzenia, że działamy w porozumieniu z Kościołem. Dlatego w bardzo demagogicznej replice na „Rewolucję bez rewolucji” Autor tekstu opublikowanego w „Biuletynie informacyjnym” zaatakował nie tyle mnie, co ks. Prymasa Stefana Wyszyńskiego, nazywając go ajatollahem i winiąc za wszystko. Chyba dziś nikt nie ma wątpliwości, że działania nasze nie były inspirowane przez Kościół, jakkolwiek staraliśmy się o nich informować również Prymasa. W tym czasie kontakt nie był utrzymywany bezpośrednio przez nas, tylko kanałem nn; wiem, że „Rewolucję bez rewolucji” przekazano Prymasowi dopiero po zakończeniu pielgrzymki papieża,

znanego z ataków na ruch studencki w 1968 r., a kończąc na Jacku; wszystkich ich łączyła przynależność do komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej w latach stalinowskich. Pozostała część tekstu utrzymana była w normalnym, spokojnym tonie, dalekim od jakiegokolwiek polemiki. Po prostu przedstawiłem nasz program dotyczący zarówno rozegrania eksplozji społecznej, jak kilkupunktowy plan fazowego dojścia do niepodległości. Wszystkie te działania były tak pomyślane, aby nie dopuszczać do starć fizycznych, typowych dla większości rewolucji. Wynikało z tego, że wieszczona przez Kuronia katastrofa nie jest jedyną, ani najbardziej prawdopodobną alternatywą, gdyż możliwy był bez-siłowy przebieg wybuchu społecznego – pod warunkiem, że wesprze go i pomoże zorganizować opozycja.

Ostrość początkowego, polemicznego fragmentu miała wykazać, że na wszelkie próby publicznego kontynuowania anty-eksplozywnej koncepcji Kuronia będziemy reagować wszelkimi możliwymi środkami, również odwołując się do przeszłości, czego z zasady nie robiliśmy. Rzeczywiście, podobne teksty, ostrzegające przed wybuchem, nie były już publikowane, a mogły narobić wiele szkody. Przeciwników wsparcia eksplozji – a ściślej mówiąc, masowych strajków nie brakowało, i to w różnych środowiskach. KOR początkowo wstrzymywał się od poparcia akcji strajkowej, podobnie jak większość gdańskiego RMP. Najostrzej wystąpił Wojtek Ziemiński. W swym fundamentalistycznym, czy wręcz fanatycznym wystąpieniu na opozycyjnej manifestacji przed Grobem Nieznanego Żołnierza 15 sierpnia, dzień po rozpoczęciu strajku w Stoczni Gdańskiej, ostro potępił to wydarzenie i inne podobne, określając je jako prowokacyjne i nie patriotyczne; dziś trzeba walczyć o niepodległość najjaśniejszej Rzeczypospolitej – krzyczał – a nie o obniżkę cen kielbasy. Polemizowałem z nim ostro, ale po twarzach widziałem, że nie przekonałem wszystkich. Dokonała tego sama rzeczywistość; parę dni później już cała opozycja wspierała strajki.

Spieraliliśmy się o spawy najważniejsze, decydujące o losie Polski. Byliśmy przekonani, każdy z osobna, o słuszności własnych programów, ale przecież mogliśmy się mylić. Przyszłość zawsze jest nieznana, proces dziejowy w każdej chwili może skrócić w całkowicie innym kierunku. Szukanie innych, mniej popularnych dróg nadawało fundamentalny charakter naszym poczynaniom. W takich warunkach niemożliwe stawało się wytworzenie wspólnej polityki. Do tego dochodził zupełnie inny zakres wyobraźni. Nawet coś, co powinno być wspólne – wizję demokratycznej opozycji, kształtowaliśmy w oparciu o zupełnie inne źródła i doświadczenie.

My mieliśmy przed oczami system, który od dawna funkcjonował w Polsce. Także w XX wieku. Scena polityczna zawsze była podzielona, występowały na niej w zmieniających się układach różne partie i stronnictwa polityczne. Również ziemny system polityczny w latach okupacji niemieckiej oraz formującego się totalitaryzmu PRL był pluralistyczny. Nie wyobrażaliśmy sobie, że przyszła opozycja demokratyczna może być inna, a gdy zaczęła się formować, samo życie wykazywało, że musi być różnorodna, gdyż dołączali do niej ludzie różnych przekonań.

Środowisko socjal-demo-liberalne, a przynajmniej jego główna część, wyrosło w PRL i innych rozwiązaniach ustrojowych nie znało, albo uważało za przestarzałe i nieaktualne. Była jedna siła rządząca – i powinna być jedna siła opozycyjna. Dodawano do tego pozornie racjonalny argument, że skoro władza jest zjednoczona w jednej wielkiej politycznej strukturze, to podzielona na różne opcje opozycja nie ma żadnych szans. Tyle tylko, że jedyną organizację można zniszczyć jednym uderzeniem taktycznym, gdy wielość zapewnia przetrwanie opozycji. Jednak przekonanie o przewadze monizmu politycznego nad pluralizmem było tak silnie, że nawet Bronisław Geremek – umysł o wszechstronnym, gruntownym wykształceniu, ulegał mu jeszcze latem 1989 r. Sam mi, raczej żartobliwie o tym po latach opowiadał. Delegację nowo-wybranego parlamentu pod Jego przewodnictwem przyjmowano w Senacie USA. Zapytani, czy w polskim Sejmie formują się już nowe partie polityczne, przybyli parlamentarzyści zgodnie odparli, że nie ma takiej potrzeby, gdyż stosują bardziej nowoczesną formę, a mianowicie jednolity ruch obywatelski. Przyjęcie tej informacji było raczej chłodne. Dopiero w części nieoficjalnej jeden z senatorów, bardzo życzliwy Polsce (rodzina jego wywodziła się z ziem historycznych Rzeczypospolitej), wziął na bok Geremka

i tłumaczył mu, że istnienie partii politycznych jest niezbędne dla funkcjonowania demokracji – a w powszechnym przekonaniu zachodniej opinii publicznej jedyne i jednolite ruchy polityczne są typowe tylko dla państw totalitarnych. Przekonał zresztą rozmówcę bez trudu. Geremek opowiadał mi o tym, ilustrując wywód, jak bardzo nieprzygotowany pod względem technik politycznych i mechanizmów kierowania państwem demokratycznym byli ludzie, którzy wówczas, niespodziewanie dla siebie, przejmowali władzę – i musieli sobie z tym poradzić. Sam pamiętałem, jak pod koniec sierpnia 1989 r. Tadeusz Mazowiecki, już premier, ale jeszcze bez rządu, zaprosił Jana Józefa Lipskiego i mnie, jako szefów partii znajdujących się poza parlamentem (PPS i KPN). Wiedział dobrze, że demokracja działa tylko wtedy, gdy funkcjonuje pluralizm; wcześniej odmówił kandydowania do parlamentu (identycznie postąpił Olek Hall), gdy okazało się, że na listach wyborczych przyznanych niezależnym kandydatom umieszczono przedstawicieli tylko jednej struktury opozycyjnej. Zaprosił nas, aby powiadomić, że jego głównym celem jest przywrócenie demokracji – i prosił o poparcie. Zapytałem go wówczas, od czego zacznie. Podniósł ręce do góry, jakby się chciał złapać za głowę, i wykrzyknął półgłosem: *Jezus Maria, żebym ja to wiedział!*

Otóż stosunek środowiska KOR do nas wynikał przede wszystkim z inaczej ukształtowanej wyobraźni. W skrajnej postaci przedstawiało się to nieomal karykaturalnie. Opozycja przeciwko totalitarnej władzy musi tworzyć jedną i jednolitą strukturę. Uformowała się jeszcze w ramach istniejących legalnie struktur politycznych i młodzieżowych, rozpoczynając od krytyki błędów socjalizmu i przeszła przez kolejne fazy aż powołania jawnego Komitetu, zwalczanego przez władze. Utworzenie innej struktury opozycyjnej stanowi zarazem prowokację i uzurpację. Prowokację, gdyż łamiąc jedność opozycji, tym samym działa na korzyść totalitarnych władz, a w szczególności jej nacjonalistycznego skrzydła. Uzurpację, gdyż to my byliśmy pierwsi: podjęliśmy czynną walkę już w marcu 1968 r., a teraz zorganizowaliśmy jawną demokratyczną opozycję.

Inna też była wyobraźnia historyczna. Dotyczyło to nie tylko przeszłości PRL. Opublikowałem konspiracyjne w 1976 r. broszurę „Geneza PRL”, w której nazwałem PPR *partią zdrady narodowej* – budującą przyszłą 17 republikę¹³. Dla niektórych było to faszystowskie oszczerstwo; komuniści pragnęli zaprowadzić w Polsce ustrój sprawiedliwości społecznej, lecz skrzyknęli w złym kierunku pod stalinowskim przymusem. Bez porównania ważniejsza była wiedza wyniesiona ze szkół. Tych, którzy uczęszczali do nich w latach 50. nauczono, że historia Polski obejmuje trzy epoki: feudalną, zakończoną zniesieniem pańszczyzny przez cara Aleksandra II w 1864 r.; kapitalistyczną – do ogłoszenia Manifestu Lipcowego przez PKWN w 1944 r. i obecną – socjalistyczną. Później takie bzdury odrzucono, lecz zachowano generalną postawę potępiającą, przy zmiennym nasilaniu krytyki. Najgorszy miał być okres międzywojenny: na wpół faszystowska dyktatura wojskowej junty, bliskie stosunki z Hitlerem, upadek gospodarki, gnębienie robotników i chłopów, brutalne represje wobec wszystkich środowisk postępowych. Przy takim obrazie historii, trudno się dziwić, że ugrupowanie polityczne, głoszące chęć przywrócenia przedwojennego systemu, traktowane było z największą podejrzliwością.

Przesadą byłoby przypisywanie takich poglądów wszystkim, lecz coś z tak określonej wyobraźni występowało prawie u każdego działacza ze środowiska socjal-demo-liberalnego. Budziło to zrozumiałe opory przeciwko konkurencyjnej formacji. Zwłaszcza, że ta, głosząc program maksymalistyczny (dla nich: awanturniczy), zmierzający nie do naprawy, a rozbicia PRL, prowokowała władze do zaostrzenia represji przeciwko całej opozycji.

W sytuacjach dramatycznych mogło to prowadzić, zresztą po obu stronach, do jednostkowych wystąpień, których emocje przekreślały rozsądek. Posłużę się przykładem najbardziej jaskrawym. W czerwcu 1977 r., po aresztowaniu kilkunastu członków KOR – w tym ciężko chorego J.J. Lipskiego, na konferencji prasowej potępiliśmy represje i uznaliśmy, że najważniejszym aktualnie zadaniem całej opozycji jest domaganie się uwolnienia więzionych opozycjonistów. Dodatkowo Wojtek Ziemiański

13 16-tą była wówczas republika Karelii, później ze związkowej przekształcona w autonomiczną.

przedstawił dziennikarzom zagranicznym materiały, dowodzące poważnej choroby Lipskiego. Natychmiast po zakończeniu konferencji, Radio Wolna Europa nadało – i wielokrotnie powtórzyło obszerną informację o jej przebiegu, bardzo pozytywnie oceniając zaangażowanie Ruchu Obrony. Przez wieczorem komunikaty te nagle zamilkły. Okazało się, że dwie panie ze środowiska KOR, bardzo rozemocjonowane uwięzieniem ich przyjaciół i bliskich, przerażone możliwym, a najgorszym rozwojem wypadków, zareagowały histerycznie. Przez swoje kontakty powiadomiły RWE, że Ruch Obrony zasługuje na potępienie, gdyż obrzydliwe moralnie jest żerowanie na cudzym nieszczęściu, aby promować siebie; a w ogóle jest to grupa o niejasnych zamiarach, bardzo podejrzana politycznie.

Występowały pomiędzy nami różnice fundamentalne. Szczęśliwie, dotyczyły one takiego szczebla ogólności, albo odnosiły się do różnic, które znaczenie polityczne mogły mieć dopiero w przyszłości. Byli w Ruchu Obrony ludzie, którzy emocjami odpowiadali na emocje, po rozłamie dokonanym w Zalesiu w większości znaleźli się w innej części RO. Ja osobiście nie dramatyzowałem różnic. Wokół KOR, identycznie jak u nas, skupiali się ludzie uczciwi, którzy z idealistycznych pobudek wystąpili przeciwko totalitarnemu systemowi, dążąc do poszerzenia wolności i obrony wartości humanitarnych. Działali z głębokim przekonaniem o słuszności własnych ideałów, ale w granicach istniejącej rzeczywistości. Wraz ze zmianą tej rzeczywistości, którą sami powodowaliśmy, zmieniała się optyka polityczna i bezpośrednie cele. Powodowało to ciągłą ewolucję struktur opozycyjnych. U nas mniejszą, gdyż taką ewolucję zaprogramowaliśmy i mieliśmy bardzo szczegółowo sprecyzowane cele; w środowisku socjal-demo-liberalnym bardziej żywiołową, ale chyba i bardziej istotną. Byłem przekonany – i tak rzeczywiście następowało, że wraz z upływem czasu, pod przemożną presją zmieniających się warunków, różnice pomiędzy nami będą się zmniejszać, a emocje słabnąć. Zwłaszcza, że sprzeczne czy odmienne cele i zamiary występowały najsilniej na szczytach grup opozycyjnych, a bardzo słabo na dole. Nic dziwnego. Najbliższe cele w całym okresie przed-sierpniowym były z reguły identyczne, formy działania takie same, albo bardzo podobne. Prowadziło to często do samorzutnej współpracy, a w bazie wspierającej granica pomiędzy poparciem jednego czy drugiego kierunku stawała się niewidoczna.

Wytworzyła się sytuacja, całkowicie przeciwna niż obecnie. Współcześnie dominują w polityce polskiej (choć to zjawisko typowe dla całego Zachodu) partie władzy – realne i *in spe*. Wszystkie są niemal takie same: Pragą rządzić, choć na ogół nie wyjaśniają, po co. Deklarują cele bardzo podobne, lecz w swej ogólności bliżej nie sprecyzowane; tylko niektóre zamierzenia doraźne bywają klarowne. Wyolbrzymianą natomiast różnicę, które zresztą dotyczą wyłącznie kwestii pozornych, albo drugo- czy trzecioplanowych. Skutecznie budują tylko wzajemną wrogość. W czasach opozycji wszystko było odwrotne. Obie główne opcje różniły się od siebie bardzo wyraźnie: życiorysowo, społecznie, politycznie, ideowo, miały odmienne wyobrażenie i zupełnie inne cele ostateczne. W praktyce współdziałały w osiąganiu tych samych kolejnych celów bieżących, wspólnie przekształcały rzeczywistość. Nie czyniły tego, aby realizować swoje własne interesy, lecz realizowały kolejne potrzeby społeczne, narodowe – w ostatecznym wyrazie potrzeby Polski. Łączył je nie tylko wspólny przeciwnik – jeszcze bardziej wspólne, choć tylko równoległe działanie. Wraz z upływem czasu, starały się zacierać sprzeczności i hamować konflikty wynikające z odmiennych wizerunków, charakterów i postaw. Nigdy nie stworzyły takiego stanu wrogości, jaki obserwujemy dzisiaj.

Nie chcę zacierać politycznych różnic, rywalizacji, ani stopnia możliwości. To wszystko występowało. Naszym walorem było myślenie perspektywiczne i staranne przygotowanie – co liczyło się na przyszłość. Formacja skupiona wokół KOR cieszyła się większym poparciem społecznym i możliwościami materialnymi, co dawało jej silną pozycję w danej chwili.

Ostatecznie zwyciężył jednak program niepodległościowy, powstała Trzecia Rzeczpospolita. Jak do tego doszło, skoro KPN był znacznie słabszy, niż główny nurt opozycji?

Wytworzona została sytuacja, w której inna ewentualność była niemożliwa. Co do siły,

dysponował nią przede wszystkim sam PRL, za którym ponadto stała potęga sowiecka. To był jeden z głównych problemów, który musieliśmy przeanalizować i rozwiązać grubo wcześniej. Skorzystaliśmy tutaj zwłaszcza z koncepcji Liddel Harta, brytyjskiego badacza konfliktów zbrojnych. Opracował on szeroko koncepcje działań pośrednich, pozwalających słabszemu toczyć przewlekły konflikt z silniejszym. Zobrazować to można na przykładzie gry w bilard. Grający uderza kijkiem w bilę, która tocząc się prosto, uderza w inną, po czym obie zmieniają kierunek i każda dociera do zamierzonego punktu. Niektórzy potrafią uderzyć tak, że druga bila uderza w trzecią, a nawet w czwartą –

a te posłusznie trafiają na wyznaczone miejsce. Uderzenie w kierunku powoduje, że uruchomiona siła przesuwają bile w zupełnie inne strony, lecz zgodnie z zamierzonym planem. Realne konflikty są o wiele bardziej skomplikowane, niż bilardowe rozgrywki, m.in. dlatego, że równolegle działają dwie – a nawet więcej, przeciwne siły. Działanie pośrednie zmierza do tego, aby pod jego wpływem przeciwnik zaangażował swoją siłę – względnie jej część, w wyznaczonym przez nas kierunku – czyli bezwiednie realizował nasz cel. Nieraz, zwłaszcza w warunkach bardzo skomplikowanych, można osiągnąć całkowite odwrócenie siły przeciwnej: zamiast uderzyć w nas, atakuje siebie. Otóż, z braku dostatecznych sił, działania wyłącznie bezpośrednie stosowaliśmy rzadko. Głównie posługiwaliśmy się pośrednimi, aby siłę totalitarnego państwa, ale także innych formacji kierować w wybranym przez nas kierunku. Dotyczyło to przedsięwzięć zarówno wielkich, jak małych. Posłużę się przykładem, do którego już nawiązywałem. Jacek Kuroń przestrzegał przed wywoływaniem eksplozji społecznej, gdyż spowoduje to brutalny kontratak, który nie tylko rozbije opozycję, lecz doprowadzi do długotrwałego zniewolenia. Rozpatrywał konflikt jako działanie bezpośrednie, w którym wielokroć silniejszy miażdży przeciwnika. W naszych planach operacyjnych zakładaliśmy zarówno możliwość powstrzymania takiego uderzenia, jak też ewentualność dwukrotnej eksplozji społecznej, przy czym dopiero ta druga przyniesie ostateczny sukces. Oczywiście, kontruderzenie przeciwnika musiało powodować poważne straty i mogło doprowadzić do wielkich tragedii, lecz miało również stronę pozytywną. Władza, zarówno polska, jak nadrzędna sowiecka, przez taki brutalny zamach na swoich obywateli, w pełni i manifestacyjnie ujawniała swoje oblicze: nawet na ograniczone zmiany w Polsce nie ma zgody, a wszystkie obietnice i zobowiązania okazały się oszustwem. Pozwalało to zrozumieć poważnej części Polaków, że przeważające dotychczas poglądy, iż wystarczą zmiany w samym PRL okażą się złudą, a w ślad za tym przyjdzie zrozumienie, że bez niepodległości państwowej konkretne cele, do których zmierzały różne grupy społeczne, nie mogą zostać osiągnięte. Przy ówczesnym stanie umysłów, w znacznym stopniu zniewolonych czy ogłupionych dziesiątkami lat propagandy, trudno było zakładać, że ludzie sami dojdą do tego, a jeśli nawet – to upowszechnią to odkrycie. W bezpośrednim działaniu przekonywaliśmy konkretnych ludzi o słuszności naszego programu; w pośrednim staraliśmy się przekonać całe społeczeństwo, że tylko niepodległość gwarantuje dokonanie oczekiwanych zmian i zapewni ich trwałość. Ponieważ nie mieliśmy narzędzi masowego oddziaływania – ani radia, ani telewizji...

Wolna Europa traktowała wasz program jako nacjonalistyczny...

Najchętniej nie o nim nie mówiła. Trudno się dziwić: była amerykańskim radiem rządowym. USA nie wspierały działań wywrotowych w obozie sowieckim, a my chcieliśmy obalić ustrój i, rozbić obóz. Polityka amerykańska wynikała z własnych interesów tego mocarstwa, a nie z polskich. To normalne. Otóż, ponieważ nie mieliśmy bezpośrednich środków masowego przykazu, stosowaliśmy pośrednie. Były to nie tylko nasze wypowiedzi, którym po utworzeniu KPN nadawaliśmy bardzo zaczepny, wręcz prowokacyjny charakter, podnoszenie najbardziej drażliwych kwestii, np. niepodległości Ukrainy (co musiało pobudzić uwagę Moskwy), lecz także rozwijanie struktur organizacyjnych, których skomplikowane nieraz formy, a nawet nazwy budziły niepokój SB. Tak proste działania, jak zgłoszenie kandydatów KPN w wiosennych wyborach 1980 r. do Sejmu PRL, publiczne noszenie znaczków KPN, czy jawne podważanie legalności władz

wywoływały silną reakcję. W planach działania zakładaliśmy, że jeszcze przed eksplozją (przypominam, że KPN powstał, gdy oczekiwany wybuch społeczny już wybierał) dojdzie do aresztowań. Najwyraźniej krytyczny moment rozpoczęcia bezpośredniej ekspansji społecznej¹⁴ opóźnił tę akcję, lecz trzy tygodnie po podpisaniu Porozumień Gdańskich byłem już w celi na Rakowieckiej. Cała fala rozpoczętych tym represji, aresztowań, wielki proces sądowy, ogromny, obejmujący dziesiątki tysięcy ludzi ruch obrony więzionych za przekonania – wszystko to pracowało dla nas. Komunistyczne władze bardzo głośno i wielokrotnie powiadały społeczeństwu, że istnieje program odzyskania niepodległości przez Polskę, a także partia polityczna KPN, która go realizuje. Ponieważ program ten potraktowano jako groźny, tym samym potwierdzono, że jest realny. Gdy więc doszło do grudniowego uderzenia władz, co rozwiało wszelkie iluzje, że totalitarna władza zgodzi się na demokratyzację: ludzie coraz bardziej masowo zaczęli rozumieć, że odzyskanie niepodległości jest absolutnym warunkiem zaprowadzenia demokracji i poprawy bytu. Dalej proces zaczął się toczyć sam, choć wpływaliśmy na jego przyspieszenie i konsekwentne utrzymywanie kierunku.

Działaniami pośrednimi planowaliśmy też rozegrać eksplozję społeczną. Liczyłem, że zostanę aresztowany jeszcze przed pierwszymi symptomami wybuchu, a zwolniony w następstwie porozumienia, które zakończy jego wstępną fazę. ZSRR zaczął już realizować swój wielki plan dotarcia do Środkowego Wschodu – i żadna inna awantura nie była mu potrzebna. Zdławienie siłą rozwijającego się strajku powszechnego obracało całą zachodnią opinię publiczną, a za nią rządy przeciwko Moskwie. Trwała przecież zimna wojna, a cenę Sowieci płaciliby nie w Polsce, lecz na południu. Niestety, aresztowano mnie zbyt późno – cały okres jawnej „Solidarności” przesiedziałem w więzieniu, a nasze projekty działań pośrednich pozostały na papierze. Przygotowaliśmy je jeszcze we wczesnych latach ’70 w dwu wariantach. Pierwszy przewidywał niedopuszczenie do starcia przez brak obrony. Jak już mówiłem główną siłą polskiej rewolucji bez rewolucji byli robotnicy wielkich zakładów przemysłowych, bronią strajki okupacyjne, twierdzami fabryki. Otóż w następstwie uderzenia, które mogło nastąpić tylko w nocy z soboty na niedzielę, pracownicy powinni pozostać w domu, a pracujący bez sprzeciwu opuścić zakład pracy. Wszystko, co niezbędne, wraz z kadrą „Solidarności”, powinno zejść do podziemia. W takiej sytuacji uderzenie ZOMO i wojska trafiało w próżnię, a utrzymywanie zmobilizowanych sił nie mogło być długotrwałe, gdyż groziło załamaniem finansowym. Drugi wariant przewidywał przyjęcie uderzenia na tak przygotowanych pozycjach, aby przeciwnik dla samej osłony swych działań musiał rozproszyć swoje siły. Działania strajkowe, a w istocie rewolucyjne, miały iść dalej, niż w strajku powszechnym szykowanym wiosną 1981 r. Ponieważ większość wielkich zakładów nie mogła być przedmiotem ataku wojskowo-milicyjnego z braku sił, ich pracownicy – unikając starcia fizycznego, powinni blokować inne obiekty, w szczególności przerywając linie komunikacyjne i łączności. Celem nie było zdobycie i obrona tych obiektów, lecz odciągnięcie oddziałów skierowanych do zdławienia strajku w wybranych fabrykach. Każda aktywność odciągająca była dobra, np. budowa barykady w poprzek ulicy, czy obwieszenie pustego urzędu flagami i transparentami. Chodziło o wykorzystanie przewagi liczebnej; każda aktywność, także pozbawiona większego sensu, odciągała część sił przeciwnika od metodycznie zaplanowanych działań. Jeśli udało się doprowadzić do pata – było to już nasze zwycięstwo.

Przygotowań do takiego rozegrania konfliktu nie można było ukryć, ale i nie występowała taka potrzeba. Sam ich fakt wymuszał na przeciwniku ostrożność i opóźniał podjęcie decyzji. Jeśli jednak formujący się stan dwuwładzy udało się przedłużyć, po przekroczeniu punktu krytycznego, siłowe kontruderzenie traciło sens i przekształcało się w presję ekonomiczno-polityczną.

Oba warianty wymagały dłuższych i starannych przygotowań. Pomijam szczegóły, w gruncie rzeczy najważniejsze, ale to temat na zupełnie inną, wielogodzinną rozmowę. Zwrócę uwagę tylko

14 W grudniu 1979 r. Sowieci okupowali Afganistan i pośpiesznie budowali tam *place d'armes*, skąd miał ruszyć dalszy atak. Iran był ogarnięty rewolucją islamską, a Saddam Hussein – dyktator Iraku, już pozyskany przez Moskwę.

na jeden: określenie momentu kontruderzenia przeciwnika. Działał on w zgodzie z pewną doktryną, zresztą opisaną dokładnie w książce marszałka Sokołowskiego „Strategia wojenna”, tylko przystosowaną do konfliktu wewnętrznego. Inaczej zresztą nie umieli. Nasze przypuszczenia w tej mierze zostały później w pełni potwierdzone. Otóż ostatnie czynności przed uderzeniem trzeba było siłą rzeczy przeprowadzać jawnie. Takim *rozpoznaniem walką* było wysłanie do każdej gminy tzw. grup operacyjnych. Ich odwołanie oznaczało, że zaczęło się już odliczanie dni do wyznaczonej daty uderzenia. Ostateczne potwierdzenie decyzji mogło nastąpić w ostatniej chwili – jeśli wcześniej wykonano wszystkie zaplanowanie działania przygotowawcze. Wprawdzie z więzienia, ale śledziłem to wówczas bardzo uważnie. Gdy grupy operacyjne wycofano, złożyłem przed sądem (trwał proces KPN) oświadczenie, że w takich warunkach stan nadzwyczajny (wojenny) zostanie ogłoszony w nocy na 13 względnie 20 stycznia. Sąd mi nie przerwał, oświadczenia ogłoszono w sieci „Solidarności”, ale najwyraźniej nikt nie potraktował go poważnie. Z kolei ja, w najczarniejszych przewidywaniach, nie domyśliłem się, że do tak jawnie widocznej groźnej sytuacji Związek nie podjął żadnych przygotowań.

A jednak, wbrew obawom Kuronia, udane uderzenie reżymu 13 grudnia nie przyniosło półwiecza niewoli, tylko całkiem przekreśliło możliwość przetrwania satelickiej PRL.